

**POZNAŃ
W KOLORACH
TĘCZY**

SPIIS TREŚCI

CHCĘ WAM COŚ POWIEDZIEĆ 3
Mike Urbaniak

MIEJSCA ZORIENTOWANE 13
Jędrzej Burszta

KULTURA ODMIENNA 24
Bartosz Żurawiecki

MIĘDZY UKRAINĄ A EUROPA 34
Mike Urbaniak

TEST PRAWDZIWEGO ŻYCIA 47
Jędrzej Burszta rozmawia z Tash Lisiecki

RODZINA NA SWOIM 63
Mike Urbaniak

A CZY P? 72
Bartosz Żurawiecki

CHCĘ WAM COŚ POWIEDZIEĆ

Mike Urbaniak

*Pamiętam ten dzień doskonale,
choć minęło od niego ponad
dwadzieścia lat.*

różne: od pełnej akceptacji do całkowitego odrzucenia. Coming out, co łatwo zauważyć, nie jest znormalizowaną procedurą. Tyle jest wyjść z szafy, ilu ludzi z niej wychodzących. Wielu nie wychodzi z szafy nigdy.

Pamiętam ten dzień doskonale. Wstałem, było ciepło i słonecznie, a ja postanowiłem – przy porannym goleniu – że już czas. Zszedłem do kuchni, gdzie tato robił śniadanie i poprosiłem go o wyjście do ogrodu. Do stołu zaprosiłem także krzątającą się mamę. Moja siostra z najmłodszą, kilkumiesięczną córką na rękach już wiedziała, co się święci. Widziałem przerażenie w jej oczach. Coś poczuć musiała także malutka Cori, bo jej matka coraz intensywniej nią potrzasała. Usiedliśmy do stołu, to jest moment wahania, jak to powiedzieć: czy wyłożyć kawę na ławę, czy może poprzedzić najważniejszą wiadomość wstępem? Czułem, że nie ma co przeciągać sprawy. – Chciałem wam tylko powiedzieć, że jestem gejem – rezolutnie zakomunikowałem i postawiłem stanowczą kropkę, bo co niby miałbym jeszcze dodać? Tato zapalił papierosa, a mama odpowiedziała krótko: – No, ja wiedziałam, ale tatuś chyba nie. Na co włączyła się siostra, próbując tłumaczyć rodzicom, że to może jest zaskoczenie, może nawet szok, ale przecież ja jestem nadal tą samą osobą. Byłem pod wrażeniem jej zaczerpniętej z daytime television interwencji, bo dość oczywiste było dla mnie, że jestem nieustannie tą samą osobą i oczywiste było dla mnie, że jest to oczywiste dla moich rodziców. Podziękowałem więc za uwagę i ruszyłem do Boystown, gejowskiej dzielnicy Chicago, gdzie czekał na mnie mój chłopak. – I co, ulga? – zapytał. Rzeczywiście ulga, głaz zrzucony z pleców.

Jednym z pierwszych uważających, że w szafie nie ma co siedzieć, był Karl Heinrich Ulrichs, dziewiętnastowieczny prawnik, dziennikarz i pionier seksuologii, który powiedział swoimi rodzicom to, co ja. No, prawie. Użył nieco innego słowa, nie „gej” tylko „urning” (nie czas tu teraz na tłumaczenie etymologii) i co ważniejsze, zrobił to w 1862 (!) roku. Mało tego, Ulrichs nie tylko wyszedł z szafy w swym rodzinnym domu, ale najpierw pod pseudonimem, a potem pod nazwiskiem, stał się – mówiąc dzisiejszym językiem – gejowskim aktywistą. To właśnie w liście do Ulrichsa austro-węgierski dziennikarz Károly Mária Kertbeny użył, jak się uważa, po raz pierwszy słowa „homoseksualizm”.

Coming out Ulricha był brzemienny w skutki, bo skierowano przeciwko niemu represyjną machinę państwową – miał z racji swoich poglądów i aktywności ciągle kłopoty z prawem, konfiskowano jego teksty, a nawet uwieziono. Nie poddawał się jednak, bo uważał, że reprezentacja i widzialność są niezwykle ważne, a nie można być widzialnym siedząc w szafie.

By porozmawiać o coming oucie z poznaniakami i poznaniankami udałem się do jednej z jeżyckich kamienic, której ostatnie piętro zasiedlone jest tęczą ludnością. Wszystkie chyba mieszkania zajmują tu geje, lesbijki i niepoliczalna liczba kotów. W jednym z nich mieszka Arek, jeden z najbardziej znanych poznańskich aktywistów LGBT+, którego mamę poznałem na imprezie w ramach Poznań Pride Week. Nigdy wcześniej nie widziałem geja szalejącego na parkiecie gejowskiego klubu z własną matką. Ona chyba musi wiedzieć, że jej syn jest homo – pomyślałem, uśmiechając się sam do siebie. Arek to potwierdza i mówi, że w Poznaniu zna więcej osób LGBT+, które mają podobne relacje z rodzicami, choć nie jest to niestety żelazna zasada.

– Coming out jest zawsze stresujący, bo nigdy nie wiadomo, jaki będzie finał. Można mieć najlepsze relacje z rodzicami, ale jak im powiesz, to każą ci się wyprowadzić z domu. A może też być zupełnie odwrotnie – słusznie zauważa Arek. On sam, kiedy zdecydował się na coming out przed rodzicami, zbierał się w rodzinnym domu kilka godzin, żeby im o tym powiedzieć. Robił podchody. Rodzice Arka to małomiasteczkowa klasa pracująca z północnej Wielkopolski, a ta w gejowskim świecie nie cieszy się dobrą opinią z racji rzekomo bardzo dużej homofobii. Przykład rodziców Arka zupełnie temu przeczy. Ale pierwsi nie byli rodzice, lecz koleżanki z gimnazjum, którym Arek nie chciał powiedzieć wprost, tylko je ciągle naprowadzał na wiadomy temat. Wolał, żeby to one go zapytały – odpowiedź wydawała mu się prostsza. Naprowadzanie podczas wielogodzinnych spacerów szło jednakowoż opornie, więc musiał w końcu sam wyksztusić z siebie, że jest gejem. Przyjaciółki, co było do przewidzenia, bardzo się ucieszyły z tego, że w końcu mają przyjaciela-geja, co wcale nie jest takie proste na wsi. Drzwi do szafy zostały uchylone.

Radykalna zmiana w tej materii zaszła jednak dopiero na studiach w Poznaniu. Pierwsze związki, pierwsze wizyty w gejowskich miejscówkach, wejście w tęczową społeczność i coming out przed przyjaciółką, która nie wie, że gejem jest także jej brat. – Im bardziej jest się z kimś zżytym, tym trudniej zrobić coming out, dlatego tak ciężko powiedzieć rodzicom – mówi Arek. Trudno, ale trzeba. Pomógł mu w tym piwny czteropak, nawet niskoprocentowy alkohol dodaje odwagi. Reakcją był płacz mamy i pytania z cyklu „co to będzie?”. Następnego dnia sytuacja już się uspokoiła, ale to było dla Arka za mało, więc kilka miesięcy później, po obejrzeniu „Obywatela Milka” Gusa Van Santa, w dniu swoich urodzin, Arek zrobił coming out na Facebooku. Ojciec powiedział tylko z uśmiechem: – Widziałem te twoje fejsbuki. A babcia skomentowała to krótkim: – Wiedziałam.

Pierwszym Amerykaninem, który dokonał coming outu był poeta Robert Duncan. Najpierw, w 1941 roku, poinformował o swojej homoseksualności przełożonych w armii, za co go z niej usunięto, a trzy lata później napisał swój pionierski esej „The Homosexual in Society” [„Homoseksualista w społeczeństwie”], w którym wyłożył *expressis verbis* nie tylko to, że jest gejem i nie ma zamiaru się tego wstydić, ale porównał także los osób homoseksualnych do losu Afroamerykanów i Żydów. Zasiał tym samym ziarno, które niebawem zaczęło kiełkować w postaci choćby pierwszej powojennej amerykańskiej organizacji gejowskiej – The Mattachine Society, którą wymyślił w roku 1948 kolejny zwolennik wychodzenia z szafy – Harry Hay.

– Znajomym powiedziałem w wieku osiemnastu lat, a rodzicom dziewiętnastu, reszta dowiadywała się sama, jakoś tak naturalnie – mówi Jacek, chłopak Arka, absolwent Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu, który zaczyna właśnie swą lekarską drogę zawodową. Urodził się i wychował w Inowrocławiu, gdzie w okresie dojrzewania zaczął się borykać ze swoją orientacją. Spotykał się z dziewczynami, ale podobali mu się chłopcy, więc postanowił podzielić się swoimi rozterkami z dwójką heteroseksualnych przyjaciół. Decyzja, by im powiedzieć nie była łatwa, bo Jacek strasznie bał się odrzucenia. Nawet bardziej niż powiedzenia konserwatywnym i religijnym rodzicom. Ku jego zaskoczeniu przyjaciele zareagowali bardzo dobrze: – Pierwszy mnie przytulił

i powiedział, że nie ma się czym przejmować, a drugi zażartował, że dopóki się do niego nie dobieram, wszystko jest w porządku – opowiada Jacek i dodaje: – Obaj dali mi jednoznacznie odczuć, że nic się między nami nie zmieniło. I rzeczywiście tak było. Był jeszcze trzeci heteroseksualny przyjaciel, który miał pretensję do pozostałych dwóch, że zbyt pozytywnie zareagowali na coming out Jacka. Z czasem zmienił zdanie.

Dlaczego wyjście z szafy jest ważne? Z dwóch zasadniczych powodów. Pierwszym jest chęć bycia sobą, a siedzenie w szafie na to nie pozwala i zmusza siedzące w niej osoby do ciągłego pilnowania siebie, a co za tym idzie konfabulowania, kłamania, udawania. To jest nieprawdopodobnie wykańczające i zużywa zbyt dużo energii. Wymuszona hipokryzja jest energochłonna. Drugim powodem jest widzialność, a przez to osvajanie heteroseksualnej większości z nieheteronormatywną mniejszością. Skoro sąsiad jest gejem, nauczycielka jest lesbijką, a kolega w pracy trans, okazuje się, że wyimaginowany potwór LGBT nie jest taki straszny, jak go malują. – Po moim wyjściu z szafy kolega powiedział mi, że zauważył zmianę mojego funkcjonowania, że zacząłem się jakby unosić nad ziemią. Niemożliwość powiedzenia o sobie musiała być rzeczywiście wielkim ciężarem – zauważa Jacek. Przed nim był jeszcze coming out wobec rodziców, twardy orzech do zgryzienia.

Coming outy są często dokonywane w święta – wielkanocne lub bożonarodzeniowe. Nie dlatego, by wzbogacić świąteczną atmosferę, ale dlatego, że po pierwsze: osoby LGBT+ wracają wówczas do swoich rodzinnych domów i po drugie: są tradycyjnie nagabywane przez rodzinę czy kogoś mają. Kogoś, ma się rozumieć, przeciwnej płci. Wówczas zwyczajnie nie wytrzymują heteronormatywnej opresji, a nieraz wręcz homofobii i wyrzucają z siebie zdanie, które kończy świąteczną atmosferę dość raptownie, jak u Jacka. – Pojechałem do rodziców na Wielkanoc i tato, chyba podczas szczotkowania zębów, zagląda do łazienki i zagaduje, czy byłem u spowiedzi, czy idę na mszę, na co ja, że nie. A on, że dlaczego, a ja, bo jestem gejem – opowiada Jacek. Ojciec przewrócił na to oczami i wyszedł z łazienki. Oczami przewróciła też na tę wielkanocną wiadomość mama Jacka. Zapadło milczenie. Na drugi dzień zaczęły się rodzicielskie pytania: skąd to się wzięło, jak to możliwe,

co zrobiliśmy nie tak, czy można to naprawić. – Na koniec mama mnie zapytała, czy ich testuję. Powiedziałem, że jeśli to miałyby być test, to oni go oblali – mówi Jacek. Nie tylko oni. Oblał go też starszy brat, który mówił, że niby wszystko jest okej, ale ukrywał informację o orientacji Jacka przed własną żoną.

Byli jednak i tacy, którzy zachowali się nieźle (siostra), czy wręcz wzorowo (babcia). Siostra stwierdziła, że skoro ma brata-geja, będzie jej doradzał na ciuchowych zakupach, gdyż każdy gej, jak wiadomo, jest urodzonym stylistą. Babcia natomiast, ach babcia, okazała się najwspanialsza: – Kiedy po wigilijnej kolacji odprowadzałem babcię na przystanek, zagaiła coś o tym, że moje rodzeństwo już po ślubach i mają dzieci, i kiedy ja. Powiedziałem, że żony nie będzie, bo jestem gejem – opowiada Jacek. Babcia przeprosiła za faux pas i potem już zawsze zapraszała Jacka z chłopakiem do siebie. – Chciałbym, żeby wszyscy zareagowali tak, jak babcia – konstatuje Jacek, mając pewnie na myśli rodziców.

Czy warto ryzykować? – to pytanie zadaje sobie wiele osób przed wyjściem z szafy. A co, jeśli? A co, jeśli rodzice? A co, jeśli rodzeństwo? A co, jeśli przyjaciele? Strach przed negatywną reakcją jest paralizujący. Jacek: – Coming out jest ważny bez względu na reakcję bliskich nam osób. Nawet jeśli reakcje są czasami nieprzyjemne, to życie po coming oucie jest bardzo przyjemne. To jest jak zrzućcie z pleców wielkiego głazu. Po coming oucie w końcu można być sobą.

To prawda. I choć w znanych mi opowieściach o wyjściu z szafy przeważają *summa summarum* te z dobrym zakończeniem, trzeba pamiętać, że są też te naprawdę smutne. Są rodzice, którzy wyrzucają swoje dzieci z domu, którzy reagują na coming out przemocowo. Dlatego tak ważnym postulatem wielu działających w Polsce organizacji LGBT+, w tym poznańskiej Grupy Stonewall, jest stworzenie bezpiecznych przystani dla tych, którzy nie znaleźli ich w swych rodzinnych domach. Tymi przystaniami są hostele interwencyjne, w których queerowa społeczność może pomóc stanąć na nogi tym mającym nieco mniej szczęścia.

Często jednak strach ma wielkie oczy. Wie o tym dobrze Agata, sąsiadka Arka i Jacka, której rodzice także są religijni. Agata jest rodowitą poznanianką, więc jej coming out przed znajomymi polegał głównie na tym, że spotykała kolejne osoby na parkiecie gejowskiego klubu HaH. Wiadomo, wtedy deklaracje są zbędne. Inaczej jest z rodzicami, im trzeba jakoś powiedzieć, bo do HaHu nie chodzą. A co, jeśli coming out nie zmieści się w ich światopoglądzie? A co, jeśli przestaną mnie kochać?

Nie przestali, ale po kolei.

– Długo się zbierałam, żeby im powiedzieć, ale nie widziałam jak się za to zabrać. Kiedy zaczęłam latać do Stanów, żyłam tam bardzo otwarcie, więc przed kolejnym wylotem postanowiłam napisać rodzicom list – mówi Agata. Taka forma coming outu pomaga zebrać spokojnie myśli i wyłożyć wszystko, co się chce, a jednocześnie nie wymaga natychmiastowej konfrontacji z osobami, do których list jest skierowany. List Agaty dostał przed wylotem Arek, z zadaniem przekazania go rodzicom, kiedy ich córka wsiądzie do samolotu. – Wsiadałam do niego z przekonaniem, że jeśli rodzice mnie nie zaakceptują, nie wrócę już do Polski – tak to sobie wymyśliła Agata. W liście, oprócz coming outu, była też sugestia, by rodzice obejrżeli film Russella Mulcahy’ego „Modlitwa za Bobby’ego”. Sigourney Weaver gra w nim religijną matkę, która nie może zaakceptować homoseksualności swojego syna, więc ten popełnia samobójstwo (to kolejny po „Obywatelu Milku” przykład wpływu filmu na nasze życie). Agata pomyślała, że ten film da do myślenia jej religijnym rodzicom. I czekała. W końcu się zdzwonili przez ocean i był płacz, i dużo dobrych słów, i dużo miłości. Wszystko się skończyło pięknie. Agata: – Ktoś może pomyśleć, że to było tchórzostwo, że nie rozmawiałam z nimi twarzą w twarz, ale mi było tak łatwiej i myślę, że im także. A mamę w tej całej historii zabolalo najbardziej to, że jej nie zaufałam, że mogłam w ogóle pomyśleć, że ona mogłaby mnie przestać kochać.

Agata z Ameryki wróciła, rodzice uwielbiają jej dziewczynę.

Ale to nie koniec historii, bo Agata ma brata, który jest gejem. Gdy go kiedyś o to zapytała, zaprzeczył, więc planując coming out była przekonana, że jej les-

bijstwo będzie jedynym tęczowym elementem rodziny. Dzisiaj mówi, że gdyby brat wyszedł z szafy przed nią, ona by w niej została, bo dwoje homoseksualnych dzieci to dla rodziców za dużo. A może tylko tak mówi, bo teraz widzi, jak bardzo akceptujących i kochających ma rodziców. W każdym razie przy rodzinnym stole panuje teraz płciowa równowaga: ona przyprowadza do niego swoją dziewczynę, a brat – swojego chłopaka. Świat się nie zawalił.

Agacie w siedzeniu w szafie przeszkadzało najbardziej to, że nie może szczerze rozmawiać o wszystkim ze swoją mamą, z którą miała zawsze bardzo bliską relację. – Najgorsze jest ukrywanie części siebie – zauważa. Dlatego teraz, kiedy zaczyna gdzieś nową pracę, stawia na biurku tęczową flagę, żeby wszystko od razu było jasne.

Z przygotowanej przez Kampanię Przeciw Homofobii publikacji „Sytuacja społeczna osób LGBTa w Polsce. Raport za lata 2015-2016” wynika, że najczęściej dokonujemy coming outu wobec przyjaciół, współpracowników i członków rodziny. W rodzinie najczęściej mówimy matkom i siostrze. Ponadto akceptacja przez matkę znacząco zwiększa szansę na akceptację przez resztę rodziny. Pozytywna reakcja na wyjście z szafy w sposób zauważalny wpływa na stan zdrowia i zadowolenie z życia osób LGBTa (A oznacza osoby aseksualne).

Mój coming out przed rodzicami, od którego zacząłem, był ostatnim, jakiego dokonałem w życiu, jeśli chodzi o moją tożsamość psychoseksualną. Potem już zawsze wszyscy wiedzieli. Wpływ na to miało z pewnością bycie osobą poniekąd publiczną – dziennikarzem i publicystką. Dzisiaj nie wyobrażam sobie siedzenia w szafie, to dla mnie zamierzchła przeszłość, poprzedni wiek. Nie wyobrażam sobie nawet bycia w związku z kimś, kto siedzi w szafie. Nie byłbym w stanie tego znieść, choć rozumiem, że jako gej z dużego miasta, wykonujący wolny zawód i obracający się w środowisku artystycznym jestem w pozycji uprzywilejowanej.

Kilka lat temu Robert Rient, autor głośnej swego czasu książki „Świadek”, wyszedł z inicjatywą zebrania podpisów pod listem otwartym, a właściwie

apelem o wychodzenie z szafy. Opublikowany w „Gazecie Wyborczej” list powstał pod wpływem szaleńczego ataku na klub gejowski w Orlando, w wyniku którego zginęło kilkadziesiąt osób LGBT+. Pod tym apelem podpisało się wiele osób, które wyszły z szafy, podpisałem się także i ja. Jednakowoż równie wiele osób LGBT+ swego podpisu odmówiło, a dwóch gejów w szafie nawet nas za ten list zaatakowało. Wtedy ostatecznie sobie uświadomiłem, jak ważny i przede wszystkim wyzwalający jest coming out.

MIEJSCA ZORIENTOWANE

Jędrzej Burszta

*Homoseksualność
była w Polsce Ludowej
tematem tabu.*

Homoseksualność była w Polsce Ludowej tematem tabu. Nie pisano o niej w prasie (z nielicznymi wyjątkami), nie mówiono w telewizji. Nienormatywność seksualna była niewidoczna dla większości społeczeństwa. Homoseksualiści występowali co prawda w peerelowskich powieściach kryminalnych, jednak zazwyczaj obsadzani, jeśli nie w roli przestępców, to osób podejrzanych o kontakty z marginesem społecznym i kręgami przestępczymi. Pojawiali się czasem w polskim kinie, gdzieś w tle, najczęściej ukazani stereotypowo – jako zniewieściali mężczyźni albo podejrzane typy czyhające na młodych chłopców. Generalnie jednak peerelowska kultura masowa ignorowała temat homoseksualności – o tym po prostu nie wypadało rozmawiać publicznie. Znakomite podsumowanie paradoksalnego stosunku władzy i społeczeństwa do kwestii nienormatywności seksualnej proponuje Krzysztof Tomasik, autor przełomowej, wydanej w 2012 roku książki „Gejerel”, pierwszej publikacji poświęconej rekonstrukcji historii polskiej homoseksualności w dyskursie publicznym PRL: „Liberalne prawo PRL-u, w istocie niedostrzegające homoseksualizmu, sprawiało, że preferencje seksualne były prywatyzowane, i od indywidualnej sytuacji danej osoby zależało jej poczucie wykluczenia i dyskryminacji. [...] dla dygnitarzy kolejnych dekad homoseksualizm nie był tematem szczególnie interesującym, a raczej wstydliwym. Zboczeniem, o którym przyzwoici ludzie nie rozmawiają”.

Brak opracowań historycznych o dziejach homoseksualności w PRL oznacza również, że nie możemy mówić o istnieniu jakiegokolwiek dominującej narracji narzucającej nam wyobrażenia o tym minionym świecie społecznym – a w rezultacie, nie ma zgody co do tego, jak może, a jak nie powinna brzmieć opowieść o tym okresie. Niestety, jak dotąd większość narracji pozostaje też męskocentryczna, skupiając się na odsłanianiu historii męskiej homoseksualności w Polsce. Chociaż w ostatnich latach pojawiło się więcej publikacji rekonstruujących różne mikrohistorie polskiej społeczności LGBT+, większość opracowań pisanych przez historyków, socjologów czy reporterów skupia się albo na analizie dostępnych – dodajmy, nadal (za) skąpych – materiałów źródłowych i archiwalnych, m.in. o pierwszych gejowskich zinach z lat osiemdziesiątych, takich jak „Biuletyn” i „Etap”, albo na próbie opowiedzenia homoseksualnej czy też queerowej historii Warsza-

wy. Próżno szukać podobnych książek o innych miastach, w tym o Poznaniu. To opowieść, która nadal czeka na odkrycie i przybliżenie dzisiejszym czytelnikom. W obliczu skąpych źródeł, jak i wspomnianej tabuizacji tej sfery życia w oficjalnym dyskursie Polski Ludowej, jedyne, na czym możemy się dziś oprzeć, to wspomnienia, prywatne narracje osób homoseksualnych o codziennym życiu w PRL.

Pracując przez dwa lata w międzynarodowym projekcie badawczym „Cruising the 1970s: Unearthing Pre-HIV/AIDS Queer Cultures”, realizowanym równoległe w czterech ośrodkach naukowych (Niemcy, Hiszpania, Wielka Brytania i Polska), miałem okazję przeprowadzić kilkanaście pogłębionych wywiadów etnograficznych z przedstawicielami polskiej społeczności LGBT+, uzupełnionych również o wywiady przeprowadzane przez pozostałych członków polskiej grupy badawczej koordynowanej przez prof. Tomasza Basiuka z Uniwersytetu Warszawskiego. W swoich badaniach skupiłem się na dotarciu do homoseksualnych mężczyzn w przedziale wiekowym 60-80 lat, którzy zgodzili się podzielić ze mną swoimi wspomnieniami z młodości, ze szczególnym uwzględnieniem lat siedemdziesiątych i wczesnych lat osiemdziesiątych. Moi rozmówcy pochodzili z różnych miast, w większości z dużych ośrodków (Warszawa, Wrocław, Łódź), w tym również z Poznania. Niniejszy tekst powstał w oparciu o ich wspomnienia z młodości spędzonej w stolicy Wielkopolski, nie jest więc tekstem stricte faktograficznym, co właśnie wspomnieniowym i fragmentarycznym. To utrzymana w duchu antropologii kulturowej próba rekonstrukcji skrawka dawnego świata, nie tyle nawet zapomnianego, co dla większości społeczeństwa po prostu nierozpoznanego, nieznanego, a przez to tajemniczego. Nie jest to też rekonstrukcja historyczna, mająca ambicje uzupełnienia luki w polskim piśmiennictwie historycznym. Pełnowymiarowa opowieść o historii społeczności homoseksualnej w Poznaniu nadal czeka na opowiedzenie, podobnie jak poznać musimy „historię mówioną” osób trans, lesbijek i kobiet nieheteronormatywnych. Opierając się na wspomnieniach moich rozmówców, podejmę jednak próbę przybliżenia „tamtego” Poznania z okresu PRL. Z natury rzeczy relacja ta pozostanie, podobnie jak składające się na nią wspomnienia, fragmentaryczna, silnie subiektywna, niekompletna, bardziej wrażeniowa i impresyjna, niż przedstawiająca uporządkowany

zbiór faktów. Tak działa ludzka pamięć i tak układa się, póki co, opowieść o męskiej homoseksualności w Poznaniu.

Pierwsza rzecz, jaka kojarzy się często z tematem homoseksualności w PRL, to barwne życie pikietowe, uwiecznione z literacką dezynwolturą w kultowym „Lubiewie” Michała Witkowskiego. Pikieta to miejsce spotkań osób homoseksualnych – konkretne lokalizacje w przestrzeni publicznej miasta (rządziej miasteczek), które odwiedzane było przede wszystkim przez mężczyzn szukających seksu z innymi mężczyznami. To miejsce ułatwiające nawiązanie znajomości – zazwyczaj anonimowej, na cenne kilka chwil, choć zdarzało się, że poznany na pikiecie partner seksualny zostawał „przyjacielem” na dłużej. Pikiety dzieliły się generalnie na dwa typy: publiczne toalety (zlokalizowane zazwyczaj na dworcach kolejowych, w przejściach podziemnych, bądź też wolnostojące „blaszaki”, których próżno dziś szukać w miejskiej tkance) oraz parki, odwiedzane raczej w godzinach późnowieczornych. Jak każde szanujące się miasto, Poznań obfitował w pikiety „funkcjonujące” w zasadzie nieprzerwanie przez całą dobę, choć, jak stanowczo podkreślił jeden z moich rozmówców, „nikt nigdy nie chodził na pikietę trzeźwym”.

W Poznaniu pikietą cieszącą się dużą popularnością była toaleta zlokalizowana pod rondem Kaponiera, przez którą w porze wieczorowej lub późno w nocy „przefrunąć się nie dało”. Podobnie jak w innych miastach, homoseksualiści „pikietowali” też na terenie Dworca Głównego, szczególnie na jego obrzeżach, w okolicach Dworca Zachodniego oraz w toaletach umiejscowionych przy peronach. Podobnie było ze Starym Rynkiem – nieopodal Ratusza, w miejskim szalecie „po schodkach w dół” funkcjonowała pikieta, w której jeden z moich rozmówców napotkał któregoś razu „łakomy wzrok” szalenie popularnego w tamtych czasach piosenkarza estradowego. Inne lokalizacje poznańskich pikiet to m.in. Plac Wielkopolski czy restauracja w Hotelu Merkury (dawnej Orbis Merkury), w której można było poderwać gości przyjeżdżających na Międzynarodowe Targi Poznańskie.

Poza szaletami publicznymi, które rzadko dziś wspomina się z rozrzewnieniem czy nostalgią, pikiety przez lata funkcjonowały w większości poznańskich par-

ków, przede wszystkim na Cytadeli, w parku za operą, i w parku im. Karola Marcinkowskiego. Ten ostatni najsilniej musiał przebić się do świadomości poznaniaków, potocznie zwany był przez lata (i jest nadal?) „Parkiem Pedala”, choć w środowisku posługiwano się raczej słowem-kodem „Mogador”, co odnotowuje Tomasz Łukasz Nowak, autor książki „Język ukrycia. Zapisany socjolekt gejów”. Jak podsumowuje: „pikietę w poznańskim parku im. Marcinkowskiego [cioty – przyp. JB] nazywały – na kanwie popularnego na przełomie lat 70. i 80. XX wieku serialu «Panie na Mogadorze» – «Mogadorem», siebie zaś damami lub paniami, oczywiście też z «Mogadoru», choć czasem park ten określano też potocznie „Lużą”.

Na pikietach nie zjawiali się wyłącznie homoseksualiści czy też mężczyźni nienormatywni seksualnie (w tym, bardzo często, żonaci). Pikietując w parku, trafić można było i na „luja”, czyli heteroseksualnego (przynajmniej deklaratywnie) mężczyznę, zainteresowanego seksem z innymi mężczyznami, i na „zula”, czyli „młodego, zwykle niepracującego chłopaka, który ubierał się modnie, zgodnie z panującymi trendami, i chętnie przyjmował prezenty oraz tzw. kieszonkowe od starszych mężczyzn”. A jeśli miało się pecha, trafić można było na milicjanta – niekoniecznie zakonspirowanego. Moi rozmówcy wspominają, że poznańskiej milicji regularnie zdarzało się robić nocą naloty na parki, szczególnie w latach osiemdziesiątych: „Przyjeżdżała suka, wychodzili, legitymowali kogoś, jak mieli tam w spisie, to wtedy zabierali na komendę. Pobierali odciski palców, robili zdjęcia, wpisywali do swojej tam kolekcji i koniec – puszczali”.

Jeden z moich rozmówców sugerował, że poznańscy funkcjonariusze już w latach siedemdziesiątych podejmowali kilkakrotnie próby inwigilacji lokalnego środowiska homoseksualnego. Tłumaczono to zagrożeniem, jakie dla homoseksualistów stanowiły kręgi przestępcze: „Wiesz, ja na trafiłem na takiego policjanta, który mi pewną rzecz uzmysłowił. On twierdził, że my jesteśmy «podatni na przestępstwa»”. Owym zagrożeniem byli przede wszystkim wspomniani „zule”, młodzi mężczyźni kręcący się nocą w okolicach pikiet, niejako „podszywający” się pod osoby homoseksualne i oferujący usługi seksualne za pieniądze, o czym nierzadko informowali dopiero po fakcie. O ile

nie doszło do zawiązania satysfakcjonującej transakcji, takie spotkanie mogło zakończyć się kradzieżą, a w kilku nieszczęśliwych wypadkach utratą życia. W Poznaniu głośnym echem w środowisku odbiło się szczególnie zabójstwo na ulicy Zeylanda.

Wspomnienia mojego rozmówcy o milicyjnych łapanekach z lat siedemdziesiątych zdają się potwierdzać tezę wysuniętą choćby przez Remigiusza Rzyńskiego, autora reportażu „Foucault w Warszawie”, że służby bezpieczeństwa podejmowały szereg akcji na długo przed Akcją „Hiacynt”, czyli przeprowadzoną kilkakrotnie w latach 1985-1987 ogólnopolską masową operacją przesłuchiwania homoseksualistów ściąganych z pikiet oraz prywatnych mieszkań.

„Prywatyzacja” homoseksualności oznaczała, że życie towarzyskie koncentrowało się przede wszystkim w prywatnych mieszkaniach, choć moi rozmówcy wspominają też o istnieniu w Poznaniu kilku „przyjaznych” restauracji, kawiarni i barów. Nie były to oczywiście knajpy stricte gejowskie, co raczej – używając dzisiejszej terminologii – miejsca gay-friendly, a więc lokale „zorientowane”. Na dzisiejszej ulicy św. Marcin, wtedy noszącej nazwę Armii Czerwonej, znajdował się np. bar „Pod Kuchcikiem”, funkcjonujący trochę na zasadzie pikiety. Co ciekawe, był usytuowany nieopodal Domu Partii, co niewątpliwie musiało dodawać tej niewielkiej dziupli zrozumiałej pikanterii. Główną zaletą baru był fakt, że serwowano tam wódkę, przez co lokal już w latach sześćdziesiątych określany był przez „Głos Wielkopolski” jako „przystań pijaków i pań wątpliwego, acz raczej niewątpliwego zawodu”. „Pod Kuchcikiem” dziś funkcjonuje jako zwykły bar mleczny.

Niewiele dalej, na dzisiejszej ul. Gwarnej, a ówczesnej ul. Antoniego Lampego, poznańscy homoseksualiści spotykali się w Kawiarni Gwarnej, z finezyjnym neonem (kawiarnia została w latach osiemdziesiątych przemianowana na Bar Gwarny). Dwupiętrowy lokal okupowany był ponoć często przez emerytowane śpiewaczki z poznańskiej opery, wielce sobie ceniące towarzystwo homoseksualnych miłośników teatru. Jeden z moich rozmówców z humorem wspominał beztroski nastrój panujący w lokalu „zorientowanym” na klientów

homoseksualnych: „Gwarna miała wystrój taki socjalistyczny, socrealistyczny. Krzeselka, to wszystko, te stoliki. Kierowniczką taka wiecznie naburmuszona. Gonila kiedyś mysz... Z miotłą ją goniła, aż ją wreszcie dobiła na oczach wszystkich. Na co koleżanki w pisk: «Jak tak można, morderczyni!», «Pod sąd ją!»”. Z innych przyjaznych kawiarni, niekoniecznie jednak aż tak wyraźnie sprofilowanych, wspomina się Bar „Tempo”, również zlokalizowany na św. Marcinie, „Rarytas” na ul. Mielżyńskiego, czy restauracja „Magnolia” na ul. Głogowskiej. Czasem na sekretne randki chodziło się do słynnego „Smakosza” na ul. 28 Grudnia, bądź zaglądało do „Frykasa” na ul. 23 Lutego.

Jak opowiadał mi jeden rozmówca, peerelowskie środowisko homoseksualne w Poznaniu z dumą pielęgnowało też lokalne tradycje drobnomieszczańskie – w niedzielę wypadało wpaść do restauracji hotelu Orbis Merkury „na ciastko, kawę, a nawet mały koniaczek”. Również w wypadku tego lokalu niemałe znaczenie miało „kampowe” oblicze reprezentowane przez załogę: „Pamiętam, że tam pracowała taka fajna, korpulentna kelnerka. Myśmy się zawsze starali do niej uśmiechać, bo zawsze miała na zębach pomadkę, no i się tak pięknie uśmiechała z tą pomadką. Rokoko na nią mówiono, bo miała takie loki porobione, włosy nie do końca rozczesane, tak jakby dopiero co z nich wałki zdjęła”.

Z pewnością większość klienteli wspomnianych tu kawiarni i restauracji nie miała do końca świadomości, że miejsca te mają charakter lokali „zorientowanych”. W PRL nie było możliwości prowadzenia otwarcie „barów gejowskich” podobnych do tych, jakie funkcjonowały w Europie Zachodniej czy Stanach Zjednoczonych – to raczej homoseksualiści „przysposobili” sobie wybrane miejsca, nierzadko korzystając z przychylności pracujących tam kelnerów, również należących do środowiska. Z tego względu kawiarniane opowieści moich rozmówców ujawniają specyfikę doświadczania miejskiej przestrzeni publicznej przez osoby o nienormatywnej seksualności.

W PRL życie gejowskie kwitło jednak przede wszystkim w mieszkaniach. „Prywatyzacja” homoseksualności oznaczała praktycznie całkowitą niewidzialność osób homoseksualnych w przestrzeni publicznej polskich miast, nie

licząc pikiet, istniejących jednak na marginesie społeczeństwa, kojarzących się z nocnymi schadzками i anonimowym seksem odbywanym po kryjomu, z dala od wzroku heteroseksualnej większości społeczeństwa, czy nielicznych kawiarni i barów przyciągających „zorientowaną” klientelę. Publicznie nie można jednak było otwarcie manifestować swojej inności i preferencji, a już tym bardziej intymności pomiędzy mężczyznami. Dlatego tak istotną rolę w kulturze peerelowskiej pełniły prywatne mieszkania, a więc bezpieczne przestrzenie, w których homoseksualni mężczyźni mogli być sobą zarówno w samotności, jak i w towarzystwie.

Posiadanie własnego mieszkania nie było wcale sprawą powszechną. Praktycznie przez cały okres komunizmu Polacy borykali się z problemami mieszkaniowymi wynikającymi z deficytu dostępnych lokali, w szczególności dla osób młodych, a tym bardziej – w przypadku znacznej części środowiska – bezdzietnych kawalerów. Spora część młodych gejów mieszkała u rodziców albo krewnych albo dzieliła mieszkania z innymi lokatorami. Własne lokum było więc nie tylko rzadkością, ale i przywilejem. To właśnie wokół takich miejsc tworzyły się mniejsze lub większe społeczności, które dziś moglibyśmy nazwać miejską subkulturą gejowską. Składały się na nią liczne i różne wspólnoty. Moi rozmówcy, choć spędzili lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte w Poznaniu, należeli jednak do różnych kręgów towarzyskich, niekoniecznie się ze sobą przecinających. Podobnie było zresztą w innych miastach, takich jak Warszawa, Wrocław czy Łódź. Trudno więc mówić o istnieniu jednej społeczności gejowskiej w tym okresie, choć wśród osób należących do tych przyjacielskich kręgów kształtowała się wspólna tożsamość. Dziś nazwalibyśmy ją tożsamością gejowską – wykraczająca poza samą orientację seksualną, preferencje czy praktyki seksualne. W sferze prywatnej, z dala od spojrzeń reszty społeczeństwa, tworzyły się zręby szerszej, miejskiej kultury gejowskiej.

Naczelną nieformalną „instytucją” gejowskiego życia w PRL były oczywiście prywatki. Kto mógł, gościł u siebie przyjaciół. Wspomnienia z tego okresu wypełnione są właśnie barwnymi opowieściami o przyjęciach i popijawach (o ile udało się zdobyć wystarczającą ilość alkoholu), na których spotykali się zarówno starzy znajomi, jak i nowopoznani na pikiecie mężczyźni. Je-

den z rozmówców tak opisywał huczne Sylwestry organizowane w Poznaniu przez zamożnego adwokata: „Ten Roman, on mieszkał na Głogowskiej, tam były takie wielkie salony. I u niego były organizowane sylwestry. I na tych sylwestrach było około trzydziestu-czterdziestu osób, łącznie z elitami Poznania. I to się odbywało bardzo, że tak powiem, na wysokim poziomie, była cała oprawa do tego. Romek występował w czymś w rodzaju karaoke. Słynne było jego wystąpienie jako Liza Minnelli z «Kabaretu». On miał taką fajną figurkę, drobniutki chłopaczek, ale w sam raz, tak jak Liza Minnelli. Jak się ubrał w odpowiedni strój, perukę, no to wiadomo, nie? I śpiewał. Także to były słynne sylwestry, to była elita. No oczywiście plotek cała masa. I później jakieś tam różne niesnaski, a bo ten chciał z tym, a ta nie chciała, no jak to w środowisku. Tak to się wszystko odbywało”.

„Salony gejowskie” były szczególnym rodzajem quasi-instytucji homoseksualnego życia towarzyskiego. Prowadzone zazwyczaj przez starszych, dobrze sytuowanych mężczyzn, często artystów i literatów, gromadziły ówczesne elity artystyczne i kulturalne. Organizowane na salonach „bale” były o wiele bardziej okazałą formą zwykłych prywatek, na których pojawiali się artyści, piosenkarze, aktorzy i tancerze. Zarówno żyjący w Poznaniu, jak i zjawiający się w mieście na tzw. „występach gościnnych”: „Pamiętam takie wydarzenie, to była premiera «Halki» w operze. I główną rolę śpiewała Antonina Kawecka, poznańska gwiazda. I na tej premierze był Waldorff. Zakończył się spektakl, no i oczywiście opłaceni klakierzy, prawda, brawa i okrzyki: «Wielka polska Carmen!». A Waldorff wstaje i mówi: «Wielkopolska Carmen!». Zgasił wszystkich, ale słynął z tego, ze złośliwości, więc mu to wybaczone wspaniałościom”.

Jak wspomina jeden z moich rozmówców, w Poznaniu wielkim „gejowskim świętem” był zawsze przyjazd artystów z wrocławskiego Teatru Pantomimy, którego dyrektorem był Henryk Tomaszewski: „Obowiązkowo trzeba było być na premierze w operze. Premiery były dwie albo trzy, różna obsada. Jak się nie załapało na pierwszą premierę, to obowiązkowo trzeba było być na drugiej albo na trzeciej. Tak wypadało. Jak przyjeżdżał teatr tańca, pantomima z Wrocławia, no to już było święto poznańskich gejów. Biedne koleżanki

od Tomaszewskiego były rozchwytywane. Zazwyczaj były trzy przedstawienia w ciągu trzech dni. Także chłopcy od Tomaszewskiego byli rozrywani. Tylko zawsze prosili: nie całujcie nas za mocno, bo my występujemy nago, nie? Później na następny występ trudno było to zamaskować, różne tam ukąszenia czy pogryzienia, jak koleżanki w szale...”.

Premiera w teatrze czy operze stanowiła pretekst do kontynuowania zabawy „na salonie”. Pod wieloma względami „salony” działały na zasadzie „zamkniętej” pikiety, na którą wstęp miały wyłącznie osoby zaproszone. Prywatne mieszkania i wyrastające wokół nich wspólnoty – zarówno te tworzone przez elity, jak i inne grupy przyjaciół, niekoniecznie związane bezpośrednio ze światem artystycznym – to przestrzenie, w których formowała się miejska kultura gejowska. Chociaż pełniły funkcję towarzyską, ułatwiając poznanie się i wchodzenie w nowe związki romantyczne i erotyczne, prywatne mieszkania były też miejscami kulturotwórczymi. Spotykający się w zaciszu domu mężczyźni – a warto dodać, że były to przestrzenie prawie wyłącznie homospołeczne, kobiety zapraszane były rzadko – wymieniali się także wiedzą i dzielili odkryciami literackimi, teatralnymi, filmowymi. Przepływ wiedzy dotyczył nie tylko Polski. To właśnie tymi nieoficjalnymi kanałami „przeciekały” do naszego kraju informacje z Zachodu, razem z cennymi „artefaktami” przemycanymi przez granicę: wydawnictwami erotycznymi, pierwszymi filmami pornograficznymi, przewodnikami (jak wydawany od wczesnych lat siedemdziesiątych „Spartacus International Gay Guide”), a w późniejszych latach również ulotkami i broszurami dotyczącymi AIDS. Na „salonach” rozprawiano także o literaturze gejowskiej, omawiano tłumaczenia prozy Jamesa Baldwina, ale i homoerotyczne wątki pojawiające się w książkach Jerzego Andrzejewskiego czy Jarosława Iwaszkiewicza.

We wspomnieniach mężczyzn, którzy zgodzili się opowiedzieć mi o swoich przeżyciach z młodości, Poznań doby PRL rysuje się jako miasto o podwójnej naturze: z jednej strony skrepowane drobnomieszczańskimi przyzwyczajeniami, tym silniej marginalizującymi wszelkie przejawy „inności” czy nie-normatywności, a z drugiej – szczególnie w latach siedemdziesiątych – jako ośrodek przyjazny homoseksualnym mężczyznom, oferujący wiele atrakcji

kulturalnych i towarzyskich. Warto zauważyć, że subiektywność wspomnień wiąże się też z tym, jakie modele życia przyjęli akurat ci mężczyźni, z którymi miałem okazję rozmawiać. Niezależnie od życiowych komplikacji i różnych osobistych trudności, większość z nich żyła „otwarcie” na tyle, na ile było to dozwolone w ówczesnym społeczeństwie. Wszyscy należeli do szerszych kręgów towarzyskich, wchodzili w dłuższe relacje romantyczne z partnerami, poczuli się do przynależności do szerszej kultury gejowskiej. Nie prowadzili więc podwójnego życia, jak wielu innych mężczyzn o nienormatywnej seksualności, których spotykało się prawie wyłącznie na pikiecie. Przedstawiona tu narracyjna rekonstrukcja skrawka ich świata to zaledwie przyczynek do większej, wielowątkowej opowieści o prawdziwym queerowym Poznaniu, która nadal czeka na opowiedzenie.

KULTURA ODMIENNA

Bartosz Żurawiecki

*Z dużym prawdopodobieństwem można
powiedzieć, że osoby homoseksualne
żyły na wielkopolskiej ziemi już
w czasach dawnych.*

Z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że osoby homoseksualne żyły na wielkopolskiej ziemi już w czasach dawnych. Niewątpliwie także współtworzyły przez wieki kulturę zarówno Poznania, jak i innych miast regionu. Że jednak pociąg do tej samej płci – o innych, jak to się dzisiaj mówi, nienormatywnych formach seksualności nie wspominając – nie był w kulturze polskiej mile widziany, nader trudno odszukać teraz „tęczowych” śladów minionych epok. To zadanie dla cierpliwych i dociekliwych historyków. Historykiem nie jestem, chciałbym więc jedynie zaproponować krótką podróż po wątkach homo w poznańskiej kulturze ostatnich stu lat.

Zacniemy od międzywojnia. W Poznaniu tamtego okresu bywało całkiem homoerotycznie, co uzmysławia nam wydana w 2015 roku książka Izoldy Kiec „Czy chce pan być powieszony w sympatycznym towarzystwie?”, rekapitułująca dzieje przedwojennych poznańskich kabaretów. Ich czołową postacią był pisarz, poeta i satyryk Artur Maria Swinarski. Ekscentryczny artysta nie ukrywał swej homoseksualności, a nawet czynił z niej obiekt publicznych żartów. Podobnie nawiązywali do niej jego adwersarze. Kiec przytacza w książce pamfletik na Swinarskiego opublikowany przez dziennikarza i satyryka Romana Wilkanowicza w 1929 roku w „Pręgierzu Poznańskim”: „Kiedy zasłyszał, że pewien sławny literat nazwiskiem Oskar Wilde był znany z tego, że jadał pomidory lewą ręką za pomocą dwóch palców – postanowił być także z n a n y m i w tym celu kręcąc się w kołach młodzieży sportowej męskiej, oświadczał, tak tym, którzy chcieli słuchać, jak i tym, którzy nie chcieli, że ma zboczenie à la Oskar Wilde”. Wilkanowicz porównuje tu Swinarskiego do słynnego irlandzkiego pisarza i londyńskiego dandysa, skazanego w 1895 roku przez brytyjski sąd na dwa lata ciężkich robót za kontakty homoseksualne. Sam Swinarski, jak pisze Kiec, także brał na cel swojej satyry homoseksualizm innych przedstawicieli poznańskiej elity kulturalnej, zwłaszcza krytyka teatralnego i literackiego, Jerzego Kollera. Kiec przytacza również fraszki kolejnego kabareciarza tamtej epoki, Aleksandra Janty-Pończyńskiego, w tym i tę zatytułowaną „Trzecia płeć”:

Poszukali, poszeptali tędy i owędy:

Już zwąchali się. Już grzeszą, już mają popędy.

*Ten tamtemu, tamten temu, na przemian, nawzajem,
Na odwyrtkę, na odsiebkę, specjalnym zwyczajem.
Gibko, giętko, z miłą chętką, per panie kolego.
Kochali się dwaj Marysie, Antek na trzeciego.
Tacy bo są – trudna rada – paragrafom na złość,
A samice chodzą same i zjada je zazdrość.*

Wreszcie, w zakończeniu swojej książki, Kiec krótko wspomina o śmierci następnej postaci związanej z przedwojennym poznańskim środowiskiem kabaretowym. Juliusz Znaniński „popęłił w 1960 roku samobójstwo. Nie mógł się pogodzić z brakiem akceptacji swych homoseksualnych skłonności przez ojca, znanego socjologa”. Chodzi o Floriana Znanińskiego.

Powojenna poznańska, czy nawet szerzej polska kultura była zdecydowanie mniej frywolna niż ta z lat dwudziestych i trzydziestych. Rzadko też podejmowała tematykę ludzkiej seksualności, zwłaszcza „nieprawomyślniej”. W spisie powojennych premier dwóch poznańskich teatrów dramatycznych – Polskiego i Nowego – aż do drugiej połowy lat 80. nie sposób znaleźć niczego, co mogłoby nieść drobne choćby wątki homo (może poza „Tramwajem zwanym pożądaniem” Tennessee Williamsa, wystawionym w Teatrze Polskim w 1958 roku w reżyserii Ryszarda Sobolewskiego). Jednakże w 1987 roku sporym wydarzeniem stała się krajowa prapremiera w Teatrze Polskim sztuki Larry’ego Kramera „Normalne serce”. Opowiada ona o grupie nowojorskich gejów, którzy na początku lat osiemdziesiątych musieli stawić czoła epidemii HIV/AIDS. „Normal Heart” miało premierę w Stanach Zjednoczonych w roku 1985. Sztuka odniosła sukces i do czasów „Aniołów w Ameryce” Tony’ego Kushnera uchodziła za najważniejszy tekst dotyczący pierwszych lat AIDS.

W roku 1986 „Normalne serce” w tłumaczeniu Małgorzaty Semil opublikował miesięcznik „Dialog”. Premiera poznańskiego spektaklu odbyła się 18 września 1987 roku. Reżyserował Grzegorz Mrówczyński, a główne role zagrali Mariusz Puchalski (Ned Weeks) i Wojciech Kalinowski (Feliks Turner), towarzyszyli im: Piotr Zawadzki, Wojciech Siedlecki, Wiesław Krupa, Irena

Grzonka, Andrzej Szczytko, Mariusz Sabiniewicz, Piotr Wypart, Michał Frydrych, Aleksander Podolak, Grzegorz Mrówczyński i Leszek Wojtaszek.

Temat HIV/AIDS był wówczas mocno obecny także w polskiej prasie, choć traktowano tę chorobę głównie jako egzotyczne zjawisko, które w niewielkim tylko stopniu dotyczy naszego kraju. Tym niemniej spektakl Mrówczyńskiego został może bez entuzjazmu, ale życzliwie przyjęty zarówno przez miejscowych, jak i ogólnopolskich krytyków. „W Poznaniu powstał spektakl imponujący taktem, dyskrecją i rzetelnością” – pisał Jacek Siedlecki w „Polityce”. Podobne zdanie miał recenzent „Gazety Poznańskiej” Błażej Kuszczalski: „Całość zrealizowana została nader rzetelnie i większość wykonawców prezentuje dobry poziom aktorski”. Także inni krytycy, nawet jeśli zgłaszali uwagi do samej inscenizacji, przyznawali, że spektakl to potrzebny, bo naruszający obyczajowe tabu jakim jest homoseksualizm. A o tym, jak bardzo drażliwa i budząca zakłopotanie była to wówczas kwestia, świadczy fragment recenzji z „Na przełaj”. Jej autor Włodzimierz Antos odnotował, że część publiczności „reagowała śmiechem w najmniej oczekiwanych momentach”.

Dwa lata później poznańskie „Normalne serce” przeniesione zostało do państwowej telewizji i wyemitowane w 4 maja 1989 roku w TVP2. Tu już opinie nie były tak pozytywne. Janina Szymańska w „Ekranie” napisała, że „zobaczyliśmy coś w rodzaju skandalizującej komedii erotycznej. Zabrakło w niej rozpacz, zabrakło napięcia”. Skrytykowała też aktorów i tłumaczkę sztuki. „Otóż w przekładzie sztuka Larry’ego Kramera dotyczy przeważnie tak zwanych gayów. Słowo «gay» nie funkcjonuje jednak w języku polskim, nie ma skojarzeń uczuciowych ani społecznych, nie budzi emocji. Trochę inaczej wygląda sytuacja, gdy mowa o pedałach. Zastanówmy się więc raczej nad tym, ile w Polsce jest warte życie pedała?” – kończy swoją recenzję Szymańska. Faktycznie, słowo „gay” nie funkcjonowało wówczas w Polsce w szerszym obiegu, nawet w samym środowisku homoseksualnym.

Poznańska inscenizacja pozostała jedynym w Polsce wystawieniem sztuki Kramera. Natomiast 7 września 2017 roku, podczas Poznań Pride Week, Grupa Stonewall zorganizowała – ponownie na deskach Teatru Polskiego – czyta-

nie „Normalnego serca” w nowym przekładzie i reżyserii Mike’a Urbaniaka. W czytaniu wzięli udział: Tomasz Nosiński (Ned Weeks), Robert Wasiewicz (Felix Turner) oraz Piotr Trojan, Paweł Tomaszewski, Konrad Cichoń, Piotr B. Dąbrowski, Adam Machalica, Joanna Drozda i Maria Magdalena Kozłowska. I skoro już jesteśmy przy Grupie Stonewall, przypomnijmy, że 31 maja 2019 roku odbyła się w Scenie Roboczej premiera wyprodukowanego przez nią monodramu „Michaś”, opartego na autobiografii Michała Głowińskiego, profesora literatury, który przeżył Holokaust jako dziecko, a potem przez długie lata zmagał się ze swoją homoseksualnością. Spektakl wyreżyserował Mike Urbaniak, a tytułowego Michasia zagrał Piotr Nerlewski.

W III RP wątki homoerotyczne coraz śmielej pojawiają się w przedstawieniach Teatru Polskiego w Poznaniu. Znajdziemy je między innymi w: „Zabawiając pana Sloane’a” Joe Ortona (reżyseria Stefan Szaciłowski, premiera 24 listopada 1993), „Kotce na rozpalonym blaszanym dachu” Tennessee Williamsa (reżyseria Kuba Kowalski, premiera 10 listopada 2011), „Portrecie trumiennym” Kuby Wojtaszczyka (reżyseria Michał Kmiecik, premiera 23 czerwca 2017) czy w programach kabaretu Extravaganza reżyserowanego przez Joannę Drozdę w latach 2017-19. Warto też przypomnieć, że Teatr Polski był jednym z koproducentów głośnego spektaklu Krzysztofa Warlikowskiego „Oczyszczeni” według tekstu Sary Kane, z istotnym wątkiem gejowskim (poznańska premiera odbyła się 9 grudnia 2002 roku).

2 września 2016 roku spóźnioną polską prapremierę miała sztuka niemieckiego dramaturga Martina Sperra z roku 1965. „Sceny myśliwskie z Dolnej Bawarii” wyreżyserowała Grażyna Kania. Sperr nakreślił w swoim utworze ostry, naturalistyczny obraz małej, zamkniętej społeczności, w której celem ataku jest każdy, kto jest inny, w tym także homoseksualny Abram (Piotr Dąbrowski). Przedstawienie Kani zostało przychylnie przyjęte przez publiczność i krytykę. Witold Mrozek w „Gazecie Wyborczej” napisał, że spektakl „jest skrojony precyzyjnie i z odpowiednim rytmem, zaś reżyserka nie chce pokazywać psychologicznych charakterów, tylko mechanizm grupowej przemocy – zawsze, niestety, aktualny”.

Dwa lata później, 27 października 2018 roku odbyła się premiera spektaklu „O mężnym Pietrku i Sierotce Marysi. Bajka dla dorosłych” w reżyserii Wiktora Rubina z tekstem Jolanty Janiczak. To, wedle słów samych twórców, fantazja na temat Marii Konopnickiej, przywołująca m.in. „przemilczane dekady spędzone pod rękę z Marią Dulębianką, zwaną przez nią «Pietrkiem z powycieranymi łokciami»”. Dalej Rubin i Janiczak pytają: „Ile było (i jest) takich par «przyjaciółek», «ciotek», «sióstr» we wsiach i miasteczkach? (...) Czy Konopnicka może być patronką takich cichych, zapomnianych miłości?”. Spektakl spotkał się z dobrym raczej odzewem. Julia Niedziejko na stronie Kultura.poznań.pl pochwaliła zarówno scenariusz Janiczak, jak i wykonanie: „Spójna (...) kompozycja tekstu pozwoliła wykonawcom przedstawienia na sceniczny rozmach, który sprawdził się właściwie we wszystkich scenach”.

Dorobek Teatru Nowego w kwestii LGBT jest znacznie skromniejszy. Wspomnieć należy wyłącznie przedstawienie „Pocałunek kobiety-pajaka”, które miało premierę 20 czerwca 1989 roku. Wydana w roku 1976 powieść argentyńskiego pisarza Manuela Puiga okazała się tak dużym sukcesem, że w 1983 roku autor przerobił ją na sztukę teatralną. Dwa lata później argentyńsko-brazylijski reżyser Hector Babenco nakręcił anglojęzyczną adaptację „Pocałunku...”, a grający rolę Luisa Moliny William Hurt zdobył za swoją kreację Oscara. Co więcej, na początku lat dziewięćdziesiątych powstał musical „Pocałunek kobiety-pajaka” na podstawie scenariusza Terence’a McNally’ego i z muzyką Johna Kandra i Freda Ebba. W Polsce w 1997 roku wystawił go chorzowski Teatr Rozrywki z poznanianką, Małgorzatą Ostrowską w głównej roli kobiecej. Akcja „Pocałunku...” rozgrywa się w więzieniu. W jednej celi siedzą Valentin Arrequi, aresztowany za działalność opozycyjną wobec wojskowego reżimu i homoseksualny Luis Molina, skazany za „nieobyczajne zachowania”. Luis, by podtrzymać siebie i swojego towarzysza na duchu, opowiada i odgrywa stare, głównie hollywoodzkie filmy klasy B. Reżyser poznańskiego spektaklu Waldemar Modestowicz (był to zresztą debiut teatralny tego twórcy) poszedł wbrew stereotypowi utrwalonemu przez film i oscarową kreację Hurta, który jest Moliną bardzo przegiętym. U Modestowicza natomiast rolę tę zagrał zwali-

sty, łysy, stereotypowo męski w wyglądzie i zachowaniu Krzysztof Bauman, natomiast w heteroseksualnego partyzanta wcielił się drobny Waldemar Szczepaniak o delikatnej, chłopięcej urodzie.

Akcenty homoerotyczne odnajdujemy też w baletach Polskiego Teatru Tańca. Najpierw, za czasów Conrada Drzewieckiego, objawiają się one głównie w fascynacji ciałem tancerzy. Bardziej otwarcie dochodzą do głosu w przedstawieniach zrealizowanych za dyrekcji Ewy Wycichowskiej. Przykładami są „36,5 C” w choreografii Małgorzaty Reiter (premiera w październiku roku 2007) – spektakl, który, wedle słów autorki, opowiada o odmienności i strachu przed „innym” czy cykl Pawła Malickiego „Hello, My Friend! Hello Stranger! Hello and Goodbye!” (2013-15), w którym autor nie tylko podejmuje temat inności, ale także rewiduje stereotypy związane z męskością i byciem „zniewieściałym”.

Jednak najwięcej tropów homoerotycznych odkrywa powojenna historia Teatru Wielkiego im. Stanisława Moniuszki (w latach 1949-79 noszącego nazwę Opera im. Stanisława Moniuszki). Teatr ten zrobił wiele dla popularyzacji w Polsce muzyki dwóch homoseksualnych kompozytorów XX wieku – Karola Szymanowskiego i Benjamin Brittena. Tego pierwszego zresztą hołubiono nad Wartą już przed wojną. W 1938 roku polską prapremierę miał w Poznaniu balet Szymanowskiego „Harnasie”, wystawiony ponownie w latach 1947, 1969 i 1998. 9 grudnia roku 1979 odbyła się w Teatrze Wielkim premiera opery Szymanowskiego „Król Roger”, napisanej do libretta innego homoseksualnego artysty Jarosława Iwaszkiewicza. Tytułowy bohater, chrześcijański władca Sycylii, ulega w niej fascynacji – podobnie zresztą jak jego żona, Roksana – pięknym i charyzmatycznym Pasterzem, który w trzecim akcie zmienia się w starożytnego boga Dionizosa. Wydaje się jednak, że reżyser poznańskiego przedstawienia Maciej Prus nie wydobyl z opery jej pierwiastków erotycznych. Tak przynajmniej należy wnioskować z recenzji, które ukazały się po premierze. Kazimierz Młynarz w czasopiśmie „Nurt” żałował, że Prus przedstawił „miłość bardziej w jej wymiarze duchowym niż fizycznym, nie wykorzystując w pełni sugestii zawartych w warstwie literackiej i muzycznej”.

W roku 2007 doszło natomiast w Wielkim do premiery czterech baletów do muzyki Szymanowskiego. Najsilniej aspekt homoerotyczny zaznaczył się w programie do części zatytułowanej „Mity”. Zdobią go zdjęcia Wilhelma von Gloedena – niemieckiego arystokraty, który wyraz swej fascynacji chłopakami dawał fotografując sycylijskich młodzieńców nago i nadając im cechy antycznych bohaterów. Obok zdjęć znajdujemy fragment listu choreografki „Mitów” Barbary Gołaskiej do dyrektora artystycznego Teatru Wielkiego Emila Wesołowskiego. „Prawdziwa osobowość Szymanowskiego – pisze Gołaska – odradza się poprzez pryzmat innych kultur, jest wolna, wolne są jak na ówczesne czasy trzymane «w uwięzi» skłonności”.

Z oper Brittena wystawione zostały w Poznaniu: „Mały kominiarczyk” (1964), „Opera żebracza” (1969), „Sen nocy letniej” (1977), „Rzeka krzyczących ptaków” (1980). Natomiast w styczniu roku 1987 polską prapremierę miała jego „Śmierć w Wenecji” z librettem Myfanfy Pipera opartym na słynnej noweli Tomasza Manna. Akcja rozgrywa się w dotkniętym epidemią mieście, w którym starzejący się pisarz Gustaw von Aschenbach ulega fascynacji polskim chłopcem o imieniu Tadzio. Myli się więc Piotr Kamiński w swym monumentalnym przewodniku „Tysiąc i jedna opera”, pisząc: „Żaden polski teatr nie odważył się w XX wieku na wystawienie tej opery”. Poznański spektakl reżyserował Ryszard Peryt, a kierownictwo muzyczne sprawował ówczesny dyrektor Teatru Wielkiego, Mieczysław Dondajewski. W rolę Aschenbacha (ucharakteryzowanego na postać wykreowaną przez Dirka Bogarde’a w głośnej filmowej adaptacji tekstu Manna w reżyserii Luchina Viscontiego) wcielił się Aleksander Burandt. Tadziem, którego w operze Brittena odtwarza niemy tancerz, był Rafał Zeh. Zarówno teksty w programie towarzyszącym poznańskiemu spektaklowi, jak i recenzje w polskiej prasie nie ukrywały homoerotycznych aspektów opowieści Manna i dzieła Brittena, choć nie poświęcały im zbyt wiele miejsca. Ciekawostką jest to, że recenzję „Śmierci w Wenecji” w „Gazecie Poznańskiej” napisał Wojciech A. Krolopp, związany przez lata z chórem chłopięcym Polskie Słowiki, którego kierownictwo przejmie w roku 1990. Trzydzieści lat później Krolopp zostanie aresztowany pod zarzutem molestowania seksualnego małoletnich chórzystów i w roku 2004 skazany na osiem lat pozbawienia wolności. Skądinąd akurat w recenzji Kroloppa nie

ma ani słowa o treści „Śmierci w Wenecji” i efebofilskim kontekście utworu. Krolopp koncentruje się na muzyce, ocenia inscenizację Peryta, występy śpiewaków i tancerzy.

W styczniu roku 1994 Teatr Wielki powrócił do Brittena, wystawiając kolejną jego operę „Syn marnotrawny” (reżyseria Małgorzata Dziewulska, kierownictwo muzyczne Antoni Gref). I choć premiera odbyła się w kościele dominikanów, także i w tym spektaklu nie zabrakło akcentów homo. Jak zauważyła Małgorzata Bratek w recenzji opublikowanej w „Dzienniku Poznańskim”: „(...) przeor, grany przez Aleksandra Burandta, nakłada na się czerwoną szatę Diabła, który to Diabeł zdradza wyraźnie odmienne – jak się później okaże – skłonności (hm, hm) seksualne. Diabeł ma szatę ognistą z wyrysowanym z przodu wizerunkiem nagiego mężczyzny, oplecionego przez węża.” Bratek bardzo się zresztą podobały pożądliwe gesty Diabła, który ma najwyraźniej na Marnotrawnego chrapkę. „Te lubieżne gesty, to wymowne spojrzenie zza otworów maski, ten naturalizm – a wszystko to, przypominam, w wykonaniu przeora”.

Lata dziewięćdziesiąte to czasy, gdy seksualność, a zwłaszcza homoseksualność księży jest w Polsce wciąż tematem tabu. W 1995 roku na polskie ekrany trafia brytyjski film Antonii Bird „Ksiądz”. Tytułowy bohater, katolicki duchowny, jest gejem. Film wywołuje u nas wściekłe protesty środowisk kościelnych, manifestujących swe urażone uczucia religijne pod kinami w całym kraju, także w Poznaniu, co potwierdza niżej podpisany, jeden z widzów, którzy musieli się przedzierać na seans przez łańcuszek protestujących.

Skoro jesteśmy przy filmie, koniecznie przywołajmy nazwisko Piotra Majdrowicza, przez lata szefa poznańskiego Amatorskiego Klubu Filmowego „AWA”. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych Majdrowicz nakręcił kilka krótkich filmów, które wprost poruszały tematykę męskiej homoerotycznej miłości. Majdrowicz obierał na bohaterów młodych chłopaków, śmiało też eksponował męską nagość. Ruch amatorski jako pozostający na uboczu i niepodlegający zabiegom urzędu cenzury, mógł sobie pozwolić na więcej niż kino oficjalne. Jeden z filmów Majdrowicza „Nieporozumienie” (1978) został jakiś

czas temu kupiony do kolekcji Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, można go obejrzyć na stronie placówki.

I last but not least, literatura. Z Poznaniem związany był Wojciech Bąk, poeta, tuż po wojnie prezes tutejszego oddziału Polskiego Związku Literatów. Historię jego życia opisał Marcin Kącki w książce „Poznań. Miasto grzechu”. Homoseksualizm poety, związanego zresztą z kręgami katolickimi miasta i oskarżanego o antysemityzm, niewątpliwie przyczynił się do ostracyzmu z jakim Bąk spotkał się w latach pięćdziesiątych w poznańskim środowisku literackim. Był też zapewne jednym z pretekstów, które umożliwiły władzom dwukrotne umieszczenie go w szpitalu psychiatrycznym. Ciekawe, że Bąk jest dzisiaj postrzegany przez środowiska prawicowe jako jeden z „poetów wyklętych”. O homoseksualnym aspekcie jego biografii wolą one jednak milczeć.

Z czasów bardziej nam współczesnych wspomnieć należy o poezji Edwarda Pasewicza, także autora bardzo interesującego kryminału „Śmierć w darkroomie” (2007), osnutego wokół morderstwa popełnionego w jednym z poznańskich klubów gejowskich. Z nowych pisarzy przywołajmy nazwisko Kuby Wojtaszczyka, autora m.in. rozgrywającego się w Poznaniu „Kiedy zdarza się przemoc, lubię patrzeć” (2016). Z Poznania wywodzi się również niżej podpisany – dziennikarz, krytyk filmowy, autor i aktor niezależnego poznańskiego Antykabaretu Barbarzyńcy.pl, twórca kilku książek, w tym powieści gejowskich: „Trzech panów w łóżku, nie licząc kota” (2005), „Ja, czyli 66 moich miłości” (2007), „Nieobecni” (2011) i „Do Lolelaj. Gejowska utopia” (2017). No, ale o sobie to się rozpisywać nie będę.

Dziękuję Marcie Michockiej z Teatru Wielkiego w Poznaniu za udostępnienie materiałów archiwalnych.

MIĘDZY UKRAINĄ A EUROPA

Mike Urbaniak

„Ukraińcy to mieszkańcy Poznania, żyją tu i pracują, płacą podatki. Chcemy, by czuli się w naszym mieście bezpiecznie. Jesteście dostrzegani, cenimy waszą obecność i chcemy się lepiej rozumieć”

„Ukraińcy to mieszkańcy Poznania, żyją tu i pracują, płacą podatki. Chcemy, by czuli się w naszym mieście bezpiecznie. Jesteście dostrzegani, cenimy waszą obecność i chcemy się lepiej rozumieć” – mówił niedawno Jacek Jaśkowiak, prezydent Poznania, który starał się o doprowadzenie do otwarcia w wielkopolskiej stolicy ukraińskiego konsulatu. Starania nie zakończyły się sukcesem, nowy konsulat Ukraina zdecydowała się utworzyć we Wrocławiu. Ale diaspora ukraińska jest, sto tysięcy osób w milionowej poznańskiej metropolii, a wśród niej osoby LGBT+, z których coraz bardziej widoczni są geje.

Jednym z nich jest Mikołaj, dwudziestosiedmiolatek urodzony na wsi niedaleko Odessy, w której później studiował. Studiował i pracował, bo musiał na siebie zarobić. Rodzice nie mieli funduszy, żeby utrzymać syna, ani opłacić czesne. Dla niezamożnej rodziny mającej gospodarstwo rolne tysiąc dolarów za rok studiów dziecka to kwota gigantyczna. Studia to więc sporo wyrzeczeń, które osładzał nieco akademik blisko morza, a komplikował język, a dokładnie językowa płatanina, bo Mikołaj mówił wtedy tylko po ukraińsku, a w Odessie dominuje rosyjski. Do tego trzeba dodać sporo Mołdawian i Bułgarów oraz tych, którzy posługują się *surżykiem*, mieszanką ukraińskiego i rosyjskiego. Nie dziwi więc, że wykładowcy na pierwszych zajęciach muszą spytać studentów, w jakim języku wykladać i zwykle kończy się na rosyjskim.

W ponad milionowej Odessie – trzecim mieście Ukrainy po Kijowie i Charkowie – był dziesięć lat temu, za czasów Mikołaja, jeden gejowski klub Libertine. – Bałem się tam chodzić, bo słyszałem dużo opowieści od kolegów o atakach – opowiada Mikołaj. – Sam też miałem nieprzyjemne doświadczenie z policją. To go nauczyło ostrożności w kontaktach męsko-męskich i wyrobiło jednoznaczny pogląd na temat policji.

Ukraina zdekryminalizowała związki jedнопłciowe w 1991 roku, od razu po ogłoszeniu niepodległości w wyniku rozpadu Związku Radzieckiego, w którym homoseksualność kończyć się mogła psychiatrykiem lub więzieniem. Usunięcie homoseksualności z kodeksu karnego było ważną zmianą prawną, ale społecznie nic nie zmieniło. Osoby nieheteronormatywne przytłaczająca większość Ukraińców nadal uważała za chore, zboczone i grzeszne. Ten sto-

sunek dobitnie wyraził pierwszy prezydent Ukrainy Leonid Krawczuk, nazywając publicznie homoseksualność chorobą, która wywoływana jest pod wpływem zachodnich filmów. Trzydzieści lat po Krawczuku to samo powtarza słynący z nienawiści do osób LGBT+ metropolita poznański arcybiskup Stanisław Gądecki. „Dzisiaj, w dobie drugiej rewolucji komunikacyjnej, niemalże każdy serial dla młodzieży na Netflixie zawiera promocję homoseksualizmu, hedonizmu i rozwiązłości” – zawyrokował jego ekscelencja, najwidoczniej oddany abonent Netflix.

Stosunek Ukraińców do homoseksualności kształtowały przez lata dwa główne czynniki: wspomniany ustrój sowiecki oraz cerkiew – głosem wielu swoich prominentnych przedstawicieli. Dość powiedzieć, że Jego Świątobliwość Filaret, wieloletni zwierzchnik Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Kijowskiego, a dzisiaj honorowy patriarcha Ukrainy, publicznie wyklinał nie tylko osoby LGBT+, ale także ich sojuszników. W ogniach piekielnych mieli skwierczeć wszyscy rozumiejący, akceptujący i wspierający nieheteronormatywny tryb życia. Do tego wszystkiego doszła w latach 80. XX wieku pandemia HIV/AIDS, która zresztą do dzisiaj jest wielkim problemem w większości krajów byłego Związku Radzieckiego oraz brak jakiegokolwiek edukacji w zakresie LGBT+, czy szerzej edukacji seksualnej. Stosunek większość Ukraińców do tęczęj społeczności był więc w początkach państwowości jednoznacznie negatywny. Dlatego powstała pod koniec lat 90. pierwsza ukraińska organizacja LGBT+ Nasz Świat miała arcytrudne zadanie.

Ale wróćmy do Mikołaja i jego doświadczenia z policją. – Napisał do mnie na Hornecie gość. Spytał, czy się spotkamy i czy mam jakieś porno. Mówię, że mam, wszyscy mają. To on, że świetnie, pooglądamy sobie. Na spotkaniu poprosił mnie o wysłanie paru filmików, a potem zaproponował, żebyśmy pojechali nad morze. Kiedy wsiedliśmy do samochodu, myślałem, że to taksówka, a pojechaliśmy prosto na komisariat – opowiada Mikołaj. Znajomy z Horneta (popularnej gejowskiej apki) i kierowca samochodu okazali się być policjantami w cywilu, którzy zajmowali się szantażowaniem gejów pod zarzutem rozpowszechniania pornografii. Mikołaj: – Kazali mi zadzwonić do rodziców i zażądali tysiąc dolarów. Na szczęście tato miał dobrego znajo-

mego w służbach, który załatwił moje wypuszczenie bez płacenia – dodaje z ulgą. Czy policjanci powiedzieli rodzicom w jakich okolicznościach zatrzymali Mikołaja? Tego on do dzisiaj nie wie. A czy rodzice wiedzą, że jest gejem? Może wiedzą, na pewno wiedzą, tylko nic nie mówią, a w sumie to nie wiadomo, bo w Ukrainie się po prostu o takich rzeczach nie mówi.

Życie społeczności LGBT+ jest w Ukrainie w dużej mierze ukryte, przemilczane, maskowane. Kluby gejowskie nie mają zwykle na zewnątrz wywieszonych tęczyowych flag, osoby LGBT+ nie okazują sobie czułości na ulicy, publiczny coming out jest zjawiskiem raczej niespotykanym. Dlatego tak głośnym echem odbiła się historia Wiktora Pylypenki, weterana walk z rosyjską agresją w Donbasie, który w 2018 roku postanowił wyjść z szafy i to dość spektakularnie. Ogłosił, że jest dumnym ukraińskim żołnierzem i dumnym gejem, w dodatku niejedynym na froncie. To wydarzenie było niezwykle z wielu powodów. Po pierwsze, coming outy żołnierzy są niezwykle rzadkie. Po drugie, na Pylypenkę nie mogli się rzucić nacjonałiści i prawosławny kler, bo nie wypada atakować walczącego o Ukrainę żołnierza. Wreszcie Pylypenko jako żywo zaprzeczał stereotypowi tchórzliwego geja.

Po nim byli następni: Nastia – kartografka i operatorka drona czy Wasyl, który się zgłosił na ochotnika do walki w Donbasie wraz ze swoim chłopakiem. Kiedy ten zginął na froncie, Wasyl nie wytrzymał i zrobił coming out przed swoimi towarzyszami broni, wyściskali go. W czerwcu 2019 roku Pylypenko zorganizował na kijowskiej Paradzie Równości grupę trzydziestu weteranów wojny w Donbasie. Dziękowało mu za to wielu, ale też parokrotnie go później pobili „nieznani sprawcy”. W Ukrainie wydaje się dominować podejście, że nieheteronormatywność to jest prywatna sprawa. Gejem, lesbijką czy osobą transpłciową można być prywatnie, publicznie już niekoniecznie. – U mnie na uczelni na pewno wszyscy wiedzieli, że jestem gejem i nikt mnie nie wyzywał od pedałów, ale gdybym przyszedł na zajęcia z tęcząwą przypinką, pewnie kazaliby mi ją zdjąć. Tak przynajmniej było dziesięć lat temu, za Janukowicza. Może teraz jest już inaczej? Może teraz jesteśmy bliżej Europy? – zastanawia się Mikołaj.

Ciekawy wydaje się być dzisiejszy stosunek cerkwi do homoseksualności i społeczności LGBT+. Z jednej strony, wiadomo, wspomniany Filaret, grzech sodomii i przywiązanie do tradycyjnej formy rodziny, a z drugiej – twierdzą zgodnie moi rozmówcy – zaangażowanie cerkwi w te sprawy mimo wszystko nie przypomina zaangażowania kościoła katolickiego w Polsce, który bardzo aktywnie, próbując odwrócić uwagę od pleniącej się wśród kleru pedofilii, rozsiewa z pomocą rządu i (pro)rządowych mediów nienawiść wobec osób LGBT+. – U was w Polsce religia jest tak silnie obecna w życiu społecznym, że aż mnie to, powiem szczerze, przeraża. U nas państwo jest państwo, a cerkiew jest cerkiew, a u was wszystko jest wymieszane – słusznie zauważa Mikołaj. Poza traumatycznym doświadczeniem ze skorumpowaną policją i opowieściami kolegów o napadach na bywalców klubów gejowskich, Mikołaj generalnie nie spotykał się w Ukrainie ze złymi reakcjami na swoje gejostwo. Warunek oczywiście jest jeden – ograniczyć queerową ekspresję, chyba że znajdzie się na to jakiś sposób.

Znalazła go bez wątpienia Wierka Serdiuczka, dragowe wcielenie Andrija Mychajłowycza Danyłki, człowieka-orkiestry. Danyłko jest komikiem, prezydentem, tekściarzem, kompozytorem, cyrkowcem, producentem, reżyserem, piosenkarzem i drag queen w jednym. Stał się sławny/a globalnie, gdy wystąpił/a w 2007 roku na Eurowizji w Helsinkach, śpiewając piosenkę „Dancing Lasha Tumbai” i zdobywając nią drugie miejsce. Utwór ten muzycznie to najgorsza disco-rąbanka, ale wizualnie to czysty kamp – jedno z najwspanialszych zjawisk, jakie kultura gejowska dała światu, o czym ów świat poinformowała początkowo do kampu nastawiona sceptycznie Susan Sontag w swym słynnym eseju „Notatki o kampie”. Wierka Serdiuczka podczas swego eurowizyjnego występu wyglądała jak skrzyżowanie kosmonautki, radzieckiego komisarza ludowego, *zvezdy* bałkańskiego turbo-folku i stewardessy Aerofłotu. Nie mogło się to nie spodobać gejowskiej publiczności, która od lat trzęsie Eurowizją. Nie dziwi więc, że ten koszmarne utwór prawie wygrał – byłaby to wygrana nie muzyki, a kampu. (chodzi o to, że nie dziwi, że nie wygrał?)

Danyłko w kobiecych ciuchach zaczął występować jeszcze w czasach ZSRR, stworzył wówczas kabaretową postać „prostej baby”, coś na kształt naszej Ge-

nowefy Pigwy Bronisława Opalki. Pod koniec lat 90. Wierka z kabaretowych scenek trafiła do telewizji, zaczęła też wydawać płyty, aż niemal zawędrowała w 2005 roku do finału Eurowizji w Kijowie. Eurowizja musiała jednak na nią poczekać jeszcze dwa lata, bo ważniejszy był wówczas dla Wierki projekt muzyczny z Renią Pączkowską (dragowym wcieleniem Michała Wiśniewskiego). Polegał on na wspólnym wykonaniu po polsku piosenek Serdiuczki. Kariera Wierki pokazuje, że można sobie pozwolić na przegięcie, ale w ramach akceptowanych przez większość, w ramach puszczenia oka, żartu. Krok dalej, na przykład coming out Danyłki, byłby już dla wielu nie do przyjęcia. – Wszyscy wiedzą, że Danyłko jest gejem, tylko nikt o tym głośno nie mówi – konstatuje Mikołaj, który z Odessy wyjechał w końcu do Kijowa, a po wydarzeniach na Euromajdanie, zdecydował się wyjechać do Polski.

Droga Mikołaja do Polski nie była łatwa. – Musiałem zapłacić dużo pieniędzy, żeby otrzymać zaproszenie – mówi. Było to sto pięćdziesiąt dolarów, co jest w Ukrainie kwotą niebagatelną, szczególnie dla kogoś, kto ich nie ma. – Znalazłem jakiegoś gościa w internecie i do dzisiaj nie mogę uwierzyć, że mu zaufałem – śmieje się Mikołaj – bo tyle czytałem o oszustach, którzy znikali po zapłaceniu, ale wszystko skończyło się dobrze. Potem czekała go jeszcze biurokratyczna przeprawa w polskim konsulacie, także zakończona sukcesem i w końcu upragniony przyjazd do Polski w roku 2016.

Mikołaj przyjechał razem ze swoim ówczesnym chłopakiem do Warszawy, potem była praca w „fabryce kurczaków” w Sieradzu, praca w magazynie pod Poznaniem i w końcu Poznań, gdzie Mikołaj mieszka od 2017 roku ze swoim obecnym polskim chłopakiem z Kalisza. Panowie umówili się via Grinder (inna gejowska apka) i spotkali na Malcie. Mikołaj bał się tego spotkania, bo miał cały czas w pamięci randkę z podstawionym policjantem. Trochę pomogła mu sambuca, jeden kieliszek dla kurażu. Dzisiaj mówi: – Mój chłopak mnie zmienił. Z nim stałem się bardziej otwarty, zacząłem chodzić do klubów gejowskich, prowadzić inne życie. W tych poznańskich klubach Mikołaj spotyka całkiem sporo Ukraińców, a nawet Rosjanina, z którym nie pokłócił się ani o Krym, ani Donbas. W gejowskim klubie narodowościowe animozje schodzą na drugi plan. Dużym przeżyciem była dla niego poznańska parada

równości: – Kiedy na nią szliśmy, trzęsły mi się nogi. Wkoło było dużo policji, a dla mnie policja, rozumiesz... Ale po kilku minutach marszu wszystko mi przeszło. Było świetnie, wszyscy uśmiechnięci, wszędzie tęczone flagi, ludzie nam machali z okien i balkonów. Jak na wielkich urodzinach!

Raz mu się zdarzyło, że Polak, z którym pracował zwyzywał go, ale nie od pedałów, tylko od banderowców. Jednak szybka interwencja asystentki kierowniczkii (lesbijki) załatwiła sprawę. Mikołaj ma raczej naturę ugodową. Jeśli ktoś krzyczy „Polska dla Polaków”, on odpowiada „Ziemia dla ziemniaków”, co wydaje się zresztą postulatem ze wszech miar słusznym. Polska jest dla niego i innych moich rozmówców krajem „między Ukrainą a Europą”, tak to zwykle jest formułowane, bo prawdziwa Europa zaczyna się za Odrą. A Poznań? – Poznań to dla mnie bastion praworządności, wolności, miasto przyjazne i otwarte – odpowiada natychmiast Mikołaj i dodaje: – Przyjemnie mi się tu żyje, ludzie są pomocni, mili. Chciałbym tu zostać, ale mój chłopak mówi, że jak się będzie pogarszała sytuacja osób LGBT+ w Polsce, trzeba będzie wyjeżdżać. Mam nadzieję, że tak się nie stanie, bo chciałbym w Poznaniu zapaść korzenie, kupić wspólnie mieszkanie na kredyt i starać się o polskie obywatelstwo.

W Ukrainie nie ma chyba, póki co, szansy na legalizację związków partnerskich osób tej samej płci, choć jeszcze niedawno taka propozycja w kręgach rządowych się pojawiła. Chodziło o stworzenie prawa, które dawałoby możliwość zawierania związków cywilnych zarówno jedno- jak i dwupłciowych. Niestety opór sporej części klasy politycznej i koalicji kościołów ów plan unicestwił. O małżeństwach jednopłciowych już w ogóle nie ma mowy, bo to wymagałoby nie tylko większej zmiany społecznej, ale także zmiany konstytucji, gdyż ta definiuje małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny. Nietrudno się też domyślić, że adopcja dzieci przez pary jednopłciowe w Ukrainie nie wchodzi z grę.

Heorhii mieszka w Poznaniu od dwóch lat, sam ma ich dwadzieścia jeden. Przyjechał do Polski jeszcze jako nastolatek z Mikołajowa, półmilionowego stocznioowego miasta nad wpadającą do Morza Czarnego rzeką Boh. Przyjechał

jak większość do pracy, ale też dlatego, że nie chciał mieszkać w Ukrainie, gdzie, jak mówi, nie jest łatwo być gejem. Z przystankiem w Kijowie trafił w końcu do Łodzi, ale kiedy wysłano go z pracy na miesiąc do Poznania, już nie chciał do Łodzi wracać, bo bardzo mu się w wielkopolskiej stolicy spodobalo. – W Mikołajowie nie ma żadnych gejowskich klubów, a tu co innego. W Poznaniu można nawet chodzić z tęczową flagą po mieście, a w Mikołajowie to by cię zabili – mówi Heorhii, chłopak w rozmowie bardzo nieśmiały, o wiele bardziej niż na swoich zdjęciach na Instagramie. Pracuje w jednym z poznańskich sklepów budowlanych, mieszka ze znajomymi Polakami i bardzo ubolewa nad tym, że pandemia zamknęła mu wszystkie gejowskie miejscówki, które bardzo lubi. W Łodzi do klubów gejowskich nie chodził, bał się, ale w Poznaniu to co innego. Lokum i HaH to jego stałe miejscówki. Nikt go tu homofobicznie nie zaatakował, zdarzyło się natomiast, że klient w sklepie powiedział, że nie chce być obsługiwany przez Ukraińca. – Do Ukrainy na pewno nie wrócę – zaznacza stanowczo Heorhii – raczej tu zostanę. Tym bardziej, że niedaleko, w Środzie Wielkopolskiej, mam też mamę, której chcę powiedzieć, że jestem gejem, ale jeszcze nie jestem gotowy. Boi się jej reakcji? Trochę się boi, „ale chyba każda mama kocha swoje dziecko, nie?”.

Dekadę po powstaniu pierwszej ukraińskiej organizacji LGBT+, powołano do życia Radę Organizacji LGBT+ w Ukrainie, a chwilę po niej Gejowski Sojusz Ukrainy – wiadomo w grupie siła. A siła i determinacja w tak homofobicznym kraju jak Ukraina są niezbędne, wiemy o tym najlepiej w Polsce. Świat jednak, jak wiadomo, kreci się tylko do przodu, także w kwestii sytuacji tęczowej społeczności u naszych wschodnich sąsiadów. Czasami tylko trzeba mu trochę pomóc, by kręcił się szybciej.

Pierwszą próbę publicznego zaistnienia ukraińskie organizacje LGBT+ podjęły w roku 2008 z okazji Międzynarodowego Dnia Przeciw Homofobii. Nic jednak z tego nie wyszło, z racji niezwykle agresywnego sprzeciwu chrześcijańskich kościołów, które na co dzień, delikatnie mówiąc, za sobą nie przepadają, ale łączy je nienawiść do osób nieheteronormatywnych. Cztery lata później, w roku 2012, podjęto próbę zorganizowania pierwszej parady równości w Kijowie. Skończyła się szybciej niż zaczęła – paradę rozwiązano, a aktywistów pobito.

Wtedy też Rada Najwyższa – ukraiński parlament – uchwaliła w pierwszym czytaniu ustawę zakazującą „propagandy homoseksualnej”. Na szczęście ostra reakcja Unii Europejskiej i ONZ spowodowała, że ustawa nie dotrwała do kolejnych czytań i wylądowała najpierw w zamrażarce, a potem w koszu. W 2013 roku parady na wniosek władz miasta zakazał sąd. W 2014 roku zakazały jej władze miasta, których stery obejmował właśnie światowej sławy bokser Witalij Kłyczko. W 2015 roku parada wbrew stanowisku Kłyczki odbyła się. No, powiedzmy. Nie trwała dłużej niż pół godziny, bo została jak zwykle zaatakowana przez nacjonalistów, byli ranni i aresztowani. Do tego na wschodzie Ukrainy trwał w najlepsze rosyjski atak, a o rosyjskim stosunku do homoseksualizmu przypominać chyba nie trzeba. Sterowani przez Moskwę separatyści z Donbasu wezwali nawet do mordowania gejów i zaatakowali gejowskie kluby. W 2016 roku parada w Kijowie trwała w końcu dłużej niż trzydzieści minut – półtora tysiąca osób ochraniało siedem tysięcy funkcjonariuszy służb porządkowych. Wyglądało to mniej więcej tak, jak słynna parada równości w Białymstoku, gdzie, gdyby nie gigantyczne siły porządkowe, wymordowano by wszystkich uczestników. Sytuacja zaczęła się uspokajać mniej więcej od 2017 roku. W 2018 parada zebrała już pięć tysięcy osób, w 2019 – osiem tysięcy, a w 2020 przyszła kowidowa pandemia. Warto też odnotować, że od kilku lat organizowane są (zwykle z dość bolesnym skutkiem) parady w Odessie, Charkowie czy Zaporozżu. Postęp więc jest, choć niełatwy.

Jurij jest z Łucka, stolicy województwa wołyńskiego II Rzeczypospolitej, dzisiaj stolicy obwodu wołyńskiego Ukrainy. Do Polski przyjechał cztery lata temu ze swoich chłopakiem i przyjacielem, też gejem. Przyjechał, żeby popracować i zarobić. Zaczął od wytwórni paluszków krabowych pod Szczecinem. – To była okropna praca, każdego dnia się pakowałem i wracam do domu. Nigdy wcześniej nie pracowałem fizycznie, w dodatku w takim miejscu – mówi. Dla człowieka o duszy raczej artystycznej, zajmującego się telewizyjnym montażem i animacją, było to wyjątkowo bolesne. Okazało się jednak, że może nie trzeba od razu wracać, wystarczy zmienić pracę. Tak też zrobił Jurij i zatrudnił się w firmie pralniczej obsługującej hotele. Nie była to praca z marzeń, ale na pewno lepsza od zmarzniętych paluszków. No dobra, może zostanie – pomyślał wtedy Jurij i zaczął wysyłać swoje résumé do wszystkich firm zajmu-

jących się produkcją wideo. Po kilku tygodniach zadzwonili z Poznania z pytaniem, czy nadal jest zainteresowany. – Pewnie, że jestem – odpowiedział natychmiast i przyjechał do wielkopolskiej stolicy. Pracodawca początkowo się wahał ze względu na barierę językową, bo wtedy jeszcze Jurij po polsku to nie bardzo: – Rozmowę prowadziłem używając słów polskich, ukraińskich, rosyjskich i angielskich. Tak to mniej więcej wyglądało – śmieje się dzisiaj. Widocznie był przekonujący w tych wszystkich językach, bo dostał tę pracę i ma ją do dzisiaj – montaż i animacja.

Głównym powodem wyjazdu była chęć zarobienia lepszych pieniędzy, a drugim to, że „Polska to bardziej Europa niż Ukraina”. – Nie wiedziałem za dużo o Polsce, poza tym, że jest w Unii Europejskiej i jest tu lepiej niż w Ukrainie – mówi Jurij. Tam, gdzie Unia, tam jest lepiej – takie to myślenie. Poza tym wielu Ukraińców z Łucka było w Polsce i opowiadało historie o wielkich pieniądzach. Tych bajek słuchał też Jurij. Po raz pierwszy z Łucka wyprowadził się, kiedy miał coś koło dwudziestu lat i zamieszkał w Kijowie. A jak wyglądało jego gejowskie życie zanim wyniósł się do stolicy? – Przed wyjazdem do Kijowa nie byłem jeszcze gejem – mówi Jurij i szeroko się uśmiecha.

W roku 2015 ukraiński parlament uchwalił prawo zakazujące dyskryminacji w miejscu pracy ze względu na orientację. Ta ważna zmiana prawna została wymuszona przez Unię Europejską, która postawiła warunek: albo zmiana w kodeksie pracy, albo procedura włączenia Ukrainy w program ruchu bezwizowego z Unią nie posunie się naprzód. Ale nawet to nie przekonało ukraińskich parlamentarzystów – tylko nieco ponad stu w 450-osobowej Radzie Najwyższej zagłosowało „za”, a debata nad tą zmianą była festiwalem homofobii. Kwestia ruchu bezwizowego dla Ukraińców była jednak zbyt ważna, więc podjęto kolejną próbę zmiany prawa (znów nieudaną, zabrakło siedmiu głosów) i kolejną (w końcu udaną). Jak mówi przysłowie, do trzech razy sztuka. Ustawa o zakazie dyskryminacji w miejscu pracy uzbierała w końcu 234 głosy.

Według raportów ILGA-Europe (europejskiego oddziału Międzynarodowego Stowarzyszenia Lesbijek i Gejów), w kwestii równouprawnienia tęczowej społeczności, Ukraina i Polska, co ciekawe, są dokładnie w tej samej kategorii i nie

ma między nimi żadnej, ale to żadnej różnicy. Ukraina i Polska „odhaczone” mają tylko dwie fundamentalne sprawy: dekryminalizację homoseksualności (Polska zrobiła to w 1932 roku) oraz zakaz dyskryminacji w miejscu pracy (wymuszone przez UE). To, co różni oba kraje to stopień społecznej akceptacji dla nieheteronormatywności (na korzyść Polski), widzialność osób LGBT+ w życiu publicznym, mediach i kulturze (na korzyść Polski) i zorganizowanie społeczności LGBT+ (na korzyść Polski).

Jurij będąc nastolatkiem prowadził życie heteroseksualnego chłopaka. Czuł, że jest „inny”, ale to wypierał. Bo jak to tak? Chłopcy, a nie dziewczyny? Znalazł sobie więc dziewczynę, byli razem trzy lata, jednak, kiedy Jurij wyjechał do Kijowa, związek na odległość nie przetrwał. Być może również dlatego, że w ukraińskiej stolicy Jurij „wyszedł w szafy”. Pomogło mu w tym nie tylko liberalniejsze wielkie miasto, ale i artystyczna uczelnia, gdzie z natury rzeczy ludzie są bardziej otwarci, także w tych sprawach. Okazało się, że można być gejem i żyć. Pojawia się pierwsza miłość poznana przez Internet, potem druga i trzecia. Z tą trzecią Jurij wyjechał w jej rodzinne strony, na drugi kraniec Ukrainy, do Doniecka. Panowie spędzili tam razem półtora roku, bo wybuchła wojna w Donbasie i trzeba było się ewakuować. Gdzie? Najlepiej w rodzinne strony, jak najdalej od konfliktu. Pokonali więc grubo ponad tysiąc kilometrów do Łucka, do rodzinnego domu Jurija, gdzie mieszka jego mama i babcia.

Czy one wiedzą, że jest gejem i kim jest chłopak, z którym przyjechał? Jurij: – Mama wiedziała już od kilku lat, bo jej powiedziałem. Na początku nawet mnie zabrała do cerkwi w celu nawrócenia na heteroseksualizm, ale nic z tego nie wyszło. Potem się obraziła, bo jestem jedynakiem, a bardzo chciała mieć wnuki. Aż w końcu się uspokoiła, nawet chyba przy pomocy batuszki, prawosławnego duchownego, który jej powiedział, że taki już jestem. A babcia? Babcia tylko spytała Jurija, czy z dziewczynami mu się już nie podoba. Nie podoba, co zrobić. Sąsiedzi też nic nie mówili, bo co mieli mówić. Nie wiedzą przecież, że chłopaki śpią w jednym łóżku. A znajomi w Łucku? – Wiedzą, ale to jest dla nich często temat do żartów i sarkastycznych komentarzy. W Poznaniu w ogóle się z czymś takim nie spotykam – zaznacza Jurij. Właśnie, Poznań.

Początek w stolicy Wielkopolski nie był wcale prosty, bo oprócz znalezienia pracy, trzeba też znaleźć mieszkanie, a zdarzało się, że wynajmujący wycofywali ofertę, bo Ukraińcowi wynajmować nie chcieli. W końcu z pomocą znajomych się udało i Jurij ze swoim obecnym chłopakiem uwił gniazdko na Jeźycach. Poznali się w Poznaniu dwa lata temu na Hornecie. Chłopak Jurija też jest Ukraińcem. Razem zwiedzają Polskę i bardzo sobie cenią bliskość Berlina.

W Ukrainie Jurij nie chodził na parady, a w Poznaniu zaczął, pierwszy raz w 2017 roku. Organizowany przez Grupę Stonewall Poznań Pride Week zrobił na nim wrażenie: – Prezydent miasta na paradzie to w Ukrainie nie do pomyślenia! – mówi Jurij i dodaje, że najbardziej utkwiło mu w pamięci „SOHO w Poznaniu”, tęczowa impreza na ulicy Zamkowej, na którą zareagował mniej więcej tak, jak Mikołaj na paradę równości: – Początkowo byłem wręcz przerażony. Bo jak to tak? Cała ulica w centrum miasta w tęczowych flagach i wszyscy tańczą na widoku? Tak można? Bez żadnych problemów? – zdziwienie Jurija nie miało granic. Dzisiaj już mu minęło. Czy tak kiedyś będzie w Ukrainie?

Dlaczego nie, przecież Ukraina też się zmienia. Nie penalizuje homoseksualności, zakazuje dyskryminacji osób LGBT+ w miejscu pracy, nie można za bycie gejem zostać usuniętym z armii, homoseksualni i biseksualni mężczyźni decyzją Ministerstwa Zdrowia mogą od 2016 roku być dawcami krwi. Znaczącej zmianie uległa też sytuacja osób transpłciowych, które mogą legalnie dokonywać operacyjnej korekty płci i mają prawo do nowych dokumentów (nawet bez korekty). Legalnej tranzycji dokonać mogą również osoby transpłciowe pozostające w związkach małżeńskich i posiadające nieletnie dzieci. Co prawda transpłciowość nadal jest uznawana w Ukrainie za psychiczne zaburzenie, a korekty można dokonać dopiero po skończeniu dwudziestu pięciu lat, ale biorąc pod uwagę to, że jeszcze dekadę temu obowiązywało tam prawo zmuszające osobę chcącą dokonać tranzycji do spędzenia miesiąca pod obserwacją w szpitalu psychiatrycznym i wymagające zgody specjalnej ministerialnej komisji, mamy jednak postęp. Mimo tego, że w rankingu ILGA Ukraina należy do najbardziej homofobicznych krajów Europy (Polska według tego samego rankingu jest największą homofobką Unii Europejskiej), nastąpiła

w niej naprawdę znacząca zmiana. W początkach ukraińskiej niepodległości zdecydowana większość Ukraińców wyrażała się jak najgorzej o osobach LGBT+ i nie chciała słyszeć o żadnym równouprawnieniu. Dzisiaj ponad połowa Ukraińców uważa, że osoby LGBT+ nie powinny być dyskryminowane i powinny mieć równe prawa (z wyjątkiem małżeństw i adopcji dzieci). Dla jednych szklanka jest więc do połowy pusta, dla innych do połowy pełna.

Jurij w skali od jednego do pięciu, Ukrainie daje dwójkę, Kijowowi trójkę, Polsce (mimo wszystko) mocną czwórkę, a Niemcom piątkę z plusem. Taka jest jego ocena sytuacji tęczowej społeczności. – Wiadomo, co się teraz w Polsce dzieje – mówi Jurij – ale to minie. Szkoda tylko, że ta cała polityczna nagonka na osoby LGBT wyciąga z ludzi tyle homofobii. Od razu jednak zaznacza, że Polska to jedno, a Poznań to drugie: – Poznań jest zupełnie inny od reszty kraju, dlatego chcemy nadal mieszkać tutaj. Poznań to obok Warszawy najbardziej gejowskie miasto w Polsce: otwarte, przyjazne, tolerancyjne, po prostu przyjemne do życia. Warto tu dodać, że dyrektorem Kampanii Przeciw Homofobii w Warszawie jest Slava Melnyk, Ukrainiec, który przyjechał dekadę temu do Polski na studia.

Jurij zna kilkunastu gejów z Ukrainy w Poznaniu. Część w związkach z innymi Ukraińcami, część z Polakami, trochę singli. Nikt się jednak na razie nie zajmuje aktywizmem LGBT+, bo po pierwsze ukraińscy geje są ukształtowani przez homofobiczną codzienność kraju pochodzenia i się boją, a po drugie mają inne problemy, jak biegle opanowanie języka, znalezienie mieszkania i – co najważniejsze – dobrej pracy. Być może, kiedy za parę lat się zaaklimatyzują, zintegrują i poczują pewniej, Poznań Pride Week dorobi się sekcji ukraińskiej. Bardzo by tego chciała Grupa Stonewall, która do społeczności LGBT+ z Ukrainy mówi dokładnie to, co prezydent Poznania: jesteście dostrzegani, cenimy waszą obecność i chcemy się lepiej rozumieć.

Mimo starań, nie udało mi się dotrzeć do żadnej mieszkającej w Poznaniu lesbijki czy osoby transpłciowej z Ukrainy.

TEST PRAWDZIWEGO ŻYCIA

Jędrzej Burszta rozmawia z Tash Lisiecki

*Moje odkrywanie siebie działało się
w czasie, kiedy osoby trans
funkcjonowały na marginesie
społeczeństwa, praktycznie
niezauważane przez większość.*

Jak wyglądał u ciebie proces odkrywania swojej tożsamości płciowej?

To nie jest łatwy proces. To się oczywiście zmienia i młodsze osoby pewnie opowiedziałyby ci już inną historię. Moje odkrywanie siebie działo się w czasie, kiedy osoby trans funkcjonowały na marginesie społeczeństwa, praktycznie niezauważane przez większość. Jeśli pojawiały w już w kulturze popularnej, to najczęściej jako element komiczny – z pewnością to nie jest to, kim chcesz być, z kim chcesz się utożsamiać. Takie reprezentacje na pewno wzmacniają wewnętrzne wyparcie. Widać, że to się w ostatnich latach zmienia, coraz więcej osób trans pojawia się w kulturze, wypowiada się publicznie, po prostu istnieje.

W Polsce powoli odkrywamy w naszej historii istnienie osób trans, które dotąd były poukrywane, chociaż w szkole nadal nic nie mówi się o takich postaciach jak choćby Piotr Włast. Gdyby takie tematy pojawiały się w szkole, to byłoby poczucie, że takie osoby zawsze istniały i istnieją, że tak było zawsze.

Jeśli o mnie chodzi, to miałam poczucie, że coś ze mną jest nie tak, ale do samego końca szkoły nie udało mi się dojść do tego i przyznać przed sobą.

Miałoś poczucie osamotnienia w tym wszystkim, że jesteś jedyną taką osobą na świecie?

Trochę tak, a wokół mnie brakowało zrozumienia dla tego, co przechodzę. W mojej klasie w technikum było bardzo dużo żartów klasycznie homofobicznych i transfobicznych. Z dzisiejszej perspektywy, kilka lat po ukończeniu szkoły, mam świadomość, że w mojej klasie poza mną były też inne osoby queerowe. I to były te same osoby, które rzucały tymi żartami. Mechanizm obronny: jeśli nabijam się z gejów, to sam nie mogę być gejem i dostać za to po mordzie. Gorzko to wspominam, tę queerfobiczną atmosferę w klasie. Mam nadzieję, że to się powoli zmienia. Jeśli w polskich szkołach znajdzie się przestrzeń na organizację takich akcji edukacyjnych jak „Tęczowe piątki”, otwarte rozmawianie o takich tematach, akceptowanie takich osób, żeby mogły czuć się sobą, młodzi ludzie nie będą zmuszeni do życia w takim lim-

bo i poczuciu, że „nie wiem co jest ze mną nie tak”, jak ja miałam przez cały okres dorastania.

Czy w procesie odkrywania tego, kim jesteś, były jakieś punkty przełomowe?

U mnie ten proces postępował stopniowo. Były wręcz momenty, że niby wiedziałam, ale nie tak żeby móc się przed sobą przyznać otwarcie. Pewnie takim przełomowym momentem była decyzja o rozpoczęciu przyjmowania hormonów, ale to było już po szkole, jak już się usamodzielniałam bardziej, również finansowo. Ale to też nie było wtedy takie proste, dostać się na leczenie, zdobyć hormony. Łatwiej jest, jak się wie rzeczy, a jak się nie wie, to jest to wręcz niemożliwe do zrobienia. Później takim momentem bardziej przełomowym – jak już miałam swoją pracę, a co za tym idzie, czułam większą niezależność – była decyzja o powiedzeniu rodzinie. Nie mogłam zdobyć się na to wcześniej ze względu na strach przed odrzuceniem, bo moja rodzina jest bardzo religijna.

Jak wygląda obecnie w Polsce proces diagnostyczny osób transpłciowych?

Dzisiaj w Polsce obowiązuje Międzynarodowa Klasyfikacja Chorób ICD–10, dopiero od przyszłego roku wejdzie u nas nowa wersja: ICD–11. Tak całkiem szczerze to wątpię, czy od razu podąży za tym zmiana w mentalności samych lekarzy. Już teraz można oczywiście trafić na ogarniętych i nowoczesnych lekarzy, którzy stosują nowoczesne metody leczenia. No bo kto to widział, żeby leczyć kogoś przestarzałymi metodami tylko dlatego, że gdzieś tam jest nie taka data jak trzeba? To jest absurd, to jest całkowicie niemedyczne. Nie wiem czy przejście na klasyfikację ICD–11 coś zmieni.

Na czym polega ta zmiana w systemie diagnostycznym?

Napisałam o tym ostatnio długi tekst. W dużym skrócie: w ICD–10 zaburzenia identyfikacji płciowej znajdują się w sekcji poświęconej zaburzeniom osobo-

wości i są diagnozowane w kontraście do tzw. „transwestytyzmu w podwójnej roli”. To są bardzo wąziutkie kategorie, w które trzeba się wpasować, a które nie mają kompletnie odwzorowania w aktualnej rzeczywistości – w dzisiejszym społeczeństwie, kulturze.

W Stanach Zjednoczonych w 2013 r. pojawiła się klasyfikacja DSM–5 i bardzo wiele osób w Polsce się na to powołuje, żeby pokazać, że amerykańscy lekarze i specjaliści już od dawna wiedzą, że ten system obowiązujący u nas nie działa. W ramach DSM–5 nie diagnozuje się już „transseksualizmu” jako jednostki chorobowej, ale dysforię płciową, czyli chroniczne poczucie cierpienia związanego z niedopasowaniem pomiędzy doświadczaną tożsamością, a narzuconą społecznie. To miało swoje zalety, bo otworzyło drogę do diagnozowania niebinarności – nie ma już przymusu, żeby się określać, czy osoba czuje się mężczyzną czy kobietą. Zresztą diagnozowanie przez cierpienie też nie jest najlepszym pomysłem. Podobnie przecież było kiedyś z homoseksualnością. Badania osób homoseksualnych wykazywały, że w związku ze swoją orientacją cierpią. Zamiast jednak szukać źródeł tego cierpienia w społeczeństwie, uznawano, że jest to nieodzowna część „przypadłości”.

W międzynarodowej społeczności, patrząc na wytyczne Światowego Stowarzyszenia Specjalistów Zdrowia Osób Transpłciowych (World Professional Association for Transgender Health), od jakiegoś czasu traktuje się transpłciowość jako coś normalnego, co nie jest samo w sobie w żaden sposób chorobą czy upośledzeniem, ale może wiązać się np. z dysforią płciową, z różnym stopniem odczuwanego dyskomfortu. Leczenie powinno polegać na tym, żeby pomóc danej osobie zmniejszyć ten dyskomfort w takim stopniu, w jakim to jest potrzebne w każdym indywidualnym przypadku.

Czym jest dysforia płciowa?

Dysforia jest strasznie skomplikowanym tematem. Różne osoby różnie nazywają różne rzeczy. Mamy dysforię fizyczną, kiedy dana osoba czuje dyskomfort związany ze swoim ciałem albo dysforię społeczną, w związku z tym, jak osoba jest postrzegana i traktowana przez społeczeństwo. Niektóre osoby czu-

łyby się bardziej komfortowo, gdyby mogły zmienić swoje ciało, np. poddając się mastektomii albo przyjmując hormony, a jednocześnie twierdzą, że nie odczuwają dysforii. Z kolei, jeśli dana osoba odczuwa dysfориę i w wyniku leczenia przestaje ją odczuwać, to wcale nie znaczy, że przestaje być osobą trans. Dlatego definicja z DSM—5 choć lepsza niż to, co obowiązuje w Polsce obecnie, też nie jest idealna.

I tu wchodzi ICD—11, które jest z kolei odpowiedzią na zarzuty stawiane klasyfikacji DSM—5. Tam się definiuje niezgodność płciową i to jest taka bardzo szeroka, otwarta kategoria, w której mogą się odnaleźć różne osoby, które czują odmiennosc płciową względem tego, co jest im narzucane przez społeczeństwo. Ta klasyfikacja jest do pewnego stopnia uznaniowa, ale też otwiera drogę do diagnozowania osób, które dziś słyszą od lekarzy, że nie mieszczą się w regułach ICD—10 i w związku z tym muszą udawać kogoś, kim wcale nie są.

Czy te różne systemy klasyfikacji znajdują odzwierciedlenie w praktyce lekarzy zajmujących się diagnozowaniem i leczeniem osób z dysfориą?

W Polsce lekarze nadal patrzą na to wszystko zero-jedynkowo. Bardzo często oczekują, że osoby trans będą odhaczać jeden po drugim kolejne etapy, wedle jednego obowiązującego modelu tranzycji. Co jest absurdalnym założeniem, bo niektóre zabiegi są nie tylko strasznie drogie, ale też bardzo uciążliwe, nie wszystkich zadowolają potencjalne efekty i nie wszystkie osoby trans ich potrzebują. A w Polsce nie brakuje lekarzy, którzy oczekują, że planujesz je wszystkie – wręcz nie możesz zasugerować, że może odpuścisz sobie część z nich. Wtedy usłyszysz, że w takim razie tak naprawdę nie jesteś trans i w związku z tym nie możesz dostać hormonów czy dokumentów do sądu.

W Polsce mamy ten problem, że przed wieloma lekarzami trzeba nadal odgrywać dokładnie to, czego oni się spodziewają i chcą zobaczyć. Nie ma wyjścia – trzeba do swojej transpłciowości podchodzić performatywnie. W innym wypadku można nie zostać dopuszczonym do leczenia.

Musisz udawać kogoś innego niż jesteś?

Podstawowy problem bierze się z przestarzałych wytycznych we wspomnianych systemach diagnostycznych. Z perspektywy lekarzy starej daty tożsamość płciowa to nie jest coś, co ja odczuwam, ale coś co muszę odgrywać społecznie, performować. Muszę przyjąć żeńskie zaimki, ubierać się w damskie ubrania, malować paznokcie, nakładać makijaż, bo inaczej taki lekarz będzie miał wątpliwości czy na pewno jestem transpłciowe. To naturalnie prowadzi do totalnych absurdów, np. potrafi mnie diagnozować psycholożka, która ma na sobie dzinsy, nie ma mocnego makijażu, bo jest w pracy i chce wyglądać profesjonalnie. I ta sama osoba przygotowując diagnozę, szczegółowo opisze w niej to, jak ja się ubieram czy maluję paznokcie, czy właściwie performuję płć żeńską. A przecież tej psycholożki nikt nigdy pod takim kątem nie będzie oceniać, a już tym bardziej nikt nie zakwestionuje jej kobiecości przez fakt, że nosi spodnie. Ona jednak może kwestionować moją tożsamość płciową.

Jakie inne badania są wymagane w procesie diagnostycznym?

Niestety, w naszym kraju to nadal nie jest jasno i precyzyjnie unormowane przez prawo, co skutkuje tym, że przez lata namnożyła się olbrzymia liczba badań lekarskich, których wymaga się od osób leczących dysfориę. Czasem się śmiejemy, że jesteśmy najbardziej przebadaną częścią populacji. Sędziowie orzekający w procesach uzgadniania płci w metryce tak naprawdę sami nie wiedzą czego żądać, więc zazwyczaj patrzą na to, co były przedstawiane sądom we wcześniejszych sprawach.

Dla niektórych ludzi pozywanie swoich rodziców to strasznie traumatyczny proces. Wszyscy woleliby zanieść wymagane papiery, dostarczyć załączniki i potem móc tylko pojawić się na jednej rozprawie i od razu dostać wyrok. Jak to dziś zrobić najłatwiej? Trzeba przynieść sędziemu wszystko o co może poprosić, co z kolei tworzy zły precedens, bo jeśli trafi się inny sędzia, który nie miał dotychczas doświadczenia w pracy z osobami trans i dostanie całą

talię badań – w tym wiele niepotrzebnych i robionych dla zasady – będzie żądał tego samego, co inni. To jest absurd.

Z pozytywnych wieści, słyszałam, że ostatnio jeden z nowocześniejszych lekarzy prowadzących, który od kilku lat przyjmuje osoby niebinarne i stosuje właśnie te współczesne standardy diagnostyczne, przestał dawać skierowania na takie bzdurne badania jak kariotyp, czyli badanie nieprawidłowości chromosomów. Zamiast tego wypisuje oświadczenie, że nie zleca tego badania, bo nie jest to w żaden sposób zgodne z wytycznymi. Ale i tak, jeśli pójde do sędziego, któremu przez dziesięć lat przynoszono kariotypy i mu tego nie dostarczę, będę mieć problem. Jakimś wyjściem z tego zakłętego kręgu jest otrzymanie zaświadczenia, że lekarz nie widzi powodu do robienia badań chromosomów.

Z badaniami jest trochę tak, że transpłciowość nie jest czymś co możemy po prostu zdiagnozować – zrobić badanie krwi, badanie DNA czy jakieś prześwietlenie, z których by wyszło, że jesteś osobą trans. Nie ma czegoś takiego. Paradoksalnie, w Polsce diagnozę transpłciowości stawia się na opak. Przyjęło się, że robi się mnóstwo testów (na inteligencję, zdrowie psychiczne, stabilność), skan mózgu, badania na bycie osobą interpłciową itd. Chodzi o to, żeby wykluczyć jak najwięcej ewentualności. Ostatecznie, kiedy uda się już wszystko wykluczyć, możesz sobie być trans. To nie ma sensu zupełnie. Jak się idzie do lekarza z jakąkolwiek inną dolegliwością, to lekarz nie robi wszystkich możliwych badań naokoło żeby wykluczyć, że to nie jest to co mówisz, że cię boli.

Skąd bierze się ta podejrzliwość i ostrożność ze strony lekarzy?

Narosło wokół tego strasznie dużo głupich mitów, niesprawdzonych historii, że ktoś tam kiedyś dostał hormony, a nie powinien i potem pozwał tego lekarza. Kurczę, przecież dzisiaj wszystko można wyszukać w internecie – numery spraw, sygnatury – no i nie ma czegoś takiego, nic takiego nie miało miejsca. Ale lekarze się boją. Podobne jest podejście do gonadektomii. Bardzo cięż-

ko przeprowadzić tę operację bez zmiany metryki, co jest znowu absurdem. Jeszcze miesiąc temu powiedziałbym, że to jest w zasadzie niemożliwe. Dziś mogę powiedzieć, że jednak da się to załatwić, jak się bardzo postara, wie się do kogo pójść, co powiedzieć, a czego nie. Wtedy może się udać. Lekarze oczywiście zasłaniają się strachem przed złamaniem przepisu o pozbawieniu płodności, które podlega karze od roku do 10 lat więzienia. Ale przecież osoby trans przyjmujące od lat hormony i tak muszą się liczyć z brakiem zdolności płodzenia. Część osób zamraża więc nasienie czy jajeczka. Mimo tego lekarze się boją i odmawiają, dopóki dana osoba nie zmieni metryki. Ale znowu – gdzie tu logika? Jeśli zmienię metrykę to mnie lekarz nie pozbawia płodności? Pozbawia tak samo. To absolutnie nie ma sensu, że w tym momencie o leczeniu decyduje status prawny, a nie potrzeby medyczne. To jest postawienie sprawy na głowie i mam nadzieję, że uda się wywalczyć również zmiany w tym zakresie.

Jak wygląda kolejność poszczególnych etapów – od postawienia diagnozy przez podjęcie terapii hormonalnej po korektę prawną metryki?

Dotychczas było tak, a przynajmniej jak ja zaczynałam, że głównym lekarzem prowadzącym był seksuolog, który odsyłał do innych lekarzy. Chciał papierek od psychologa, psychiatry, wypisywał ileś tam zleceń na badania. Oczywiście najczęściej prywatnie, więc za wszystkie te badania trzeba płacić z własnej kieszeni. Część się udawało czasem na ubezpieczenie, część nie. Na jakimś etapie seksuolog wypisywał hormony. Niektórzy do tego wyznawali słynną zasadę „testu prawdziwego życia”. Chodzi o to, żeby przez dwa lata performować płeć chcianą, ale bez dostępu do hormonów. Czyli totalny cyrk i robienie z człowieka dziwoląga. Wreszcie po około dwóch latach otrzymywało się komplet dokumentów do złożenia przed sądem.

W tej chwili to wygląda trochę inaczej, bo pojawili się nowi lekarze i wprowadzili trochę nowoczesności. „Testu prawdziwego życia” raczej się już nie stosuje, chyba że masz pecha i trafiasz na lekarza starej daty. Kolejna nowość to pojawienie się endokrynologów mających doświadczenie w pracy

z osobami trans. Sprawy hormonalne to jest właśnie zakres pracy lekarza endokrynologa, a nie zwykłego seksuologa, który może o tym nie mieć zielonego pojęcia, a i tak wypisuje recepty na hormony. Druga nowość też dotyczy terapii hormonalnej. Dotychczas, żeby zmienić metrykę, trzeba było wykazać „trwałe zmiany w organizmie”. Zwykle wystarczyło wpisać działanie hormonów – od jak dawna się je przyjmuje i jakie zmiany nastąpiły w ciele. Kilka miesięcy temu pojawił się nowy precedens: udało się zmienić metrykę osobie niebinarnej niebędącej na hormonach. To ogromny przełom! Ten przypadek został zresztą opisany w broszurze Rzecznika Praw Obywatelskich na temat prawnej tranzycji.

To wszystko brzmi, jak by o wszystkim decydowała loteria – czy uda się danej osobie trafić na właściwego, dobrze przygotowanego i empatycznego lekarza, czy nie.

O ile się wie, co, gdzie i u kogo – nawet da się to zrobić sprawnie i bezstresowo. Ale sporo osób nie ma dostępu do tej wiedzy i wtedy jest naprawdę ciężko podjąć dobrą decyzję. Wynika to z tego, że w Polsce transpłciowość jest nieuporządkowanym obszarem i zazwyczaj lekarze podpierają się zasadą „bo tak było zawsze”. Nawet kiedy trafiają się młodszy, lepiej wykształceni lekarze i zwracający uwagę na nieprawidłowości, im też nie jest łatwo się przebić. Dość powiedzieć, że dla wielu do dziś największym specjalistą w kwestiach związanych z transpłciowością jest profesor Lew-Starowicz. Ten sam, który od lat opowiada kompletne bzdury o osobach trans, bo chyba myśli, że jak czterdzieści lat temu czegoś się o tym dowiedział, to już wszystko wie. Nadal uznawany jest za największego specjalistę.

Kiedyś seksuolożka wyklócała się ze mną o „test prawdziwego życia”. Tłumaczyła jej, że żadne profesjonalne międzynarodowe standardy tego nie zalecają. Jej odpowiedź: „No tak, ale profesor Starowicz zaleca...”. A nie, jak profesor Starowicz zaleca, to faktycznie... Szkoda gadać. Chodzimy do tych specjalistów, wydajemy mnóstwo kasy na wizyty i badania, i w dodatku jeszcze musimy ich edukować. Żenada.

A jak wygląda podejście lekarzy i seksuologów w Polsce do niebinarności?

Podobnie. W trakcie ustalania diagnozy z panią psycholog musiałam oczywiście forsować niebinarność i też ją trochę uczyć na czym to polega i czym się niebinarność różni od binarnej transpłciowości. Naprawdę wszystko zależy do tego na kogo się trafi. Nadal jest tak, że jeśli nie ma się wyboru, a potrzeba załatwić coś, z czym nie można od biedy iść do innego lekarza, często lepiej nie mówić, że jest się osobą niebinarną. Różnie z tym bywa. Bywają lekarze, którzy są z tym okej i tacy, którzy mają z tym problem, bo to nie pasuje do tych obowiązujących klasyfikacji.

Jakie znaczenie przypisywane jest przez lekarzy orientacji seksualnej osób trans zgłaszających się na leczenie?

To niestety idzie w parze z resztą problemów. Znow, jeśli trafi się lekarz starej daty, oczekujący, że dana osoba będzie performować tę płęć, którą chce mieć wpisaną w metryce, najczęściej będzie zakładał, że ta osoba jest heteroseksualna. Jeśli przychodzi trans kobieta, to musi być zainteresowana facetami. Ale jeśli mamy lekarza, który nie wyznaje „testów życia”, pomaga osobom niebinarnym – nie ma takich problemów.

Mieszanie ze sobą tożsamości płciowej i orientacji seksualnej doprowadza do sytuacji, w której niepisana miarą „sukcesu” w procesie tranzycji jest wejście osoby trans w heteronormatywny związek?

Mam na dysku kopię tzw. „Kwestionariusza do badania transseksualizmu”. Składa się z prawie 190 pytań, w tym wielu dotyczących seksu: w jakiej roli uprawiasz seks, czy całujesz się jak mężczyzna, czy jak kobieta, jakie masz fantazje erotyczne – tego typu pytania. Niestety, do dziś można trafić na psychologów, którzy korzystają z tego testu podczas przygotowywania diagnozy.

Mimo tego, że nierzadko doskonale wiedzą, że ten test nie ma sensu, to i tak do niego sięgają, bo to często jedyny test jaki jest im dostępny. Czują obowiązek uzasadnienia w jakiś sposób stawianej diagnozy, ale nie dysponują innymi narzędziami.

Dla mnie przechodzenie przez te testy i spowiadanie się ze swojej seksualności całkowicie obcej osobie pod groźbą odmowy leczenia było niezwykle traumatycznym przeżyciem. Traumatyczne wcale nie jest bycie osobą trans, ale właśnie tego typu doświadczenia związane z tranzycją. Pomyśl tylko, ja mam w swojej jedenastostronicowej diagnozie bardzo szczegółowo opisane tego typu kwestie. Jakbym chciało teraz zmieniać metrykę w sądzie, muszę pozwać rodziców i załączyć te jedenaście stron diagnozy w trzech kopiach, dostępne dla wszystkich stron. I w związku z tym moi rodzice mają czytać jaki seks uprawiam, jakie mam fantazje seksualne. To przecież w ogóle nie ma nic do rzeczy, to nie jest ich sprawa. Moim zdaniem na bazie tych wszystkich testów tak naprawdę prędzej by można zdiagnozować tych seksuologów.

Ich brak empatii.

Pełno jest tego typu absurdów. W cudownej książce Riki Wilchins „Burn the Binary” pada jedno z moich ulubionych zdań na ten temat. Wilchins opisuje swoją tranzycję, która miała miejsce wiele lat temu w Stanach Zjednoczonych. Pisze, że najpierw musiała swoich lekarzy przekonać, że na pewno bardzo chce być normalną cis-kobietą, żeby oni mogli z ulgą ją zapewnić, że na pewno nigdy nią nie będzie.

Czy na tym tle dochodzi do nadużyć ze strony seksuologów?

Różnie to jest. Jest taki jeden seksuolog w Polsce, całkiem znany w środowisku trans, który jest takim typowym starym dziadem i pozwala sobie na różne przemocowe sytuacje związane z molestowaniem czy obmacywaniem pacjentów. Albo robieniem im dziwnych zdjęć, niby pod pretekstem, że są potrzebne do badań. Najgorsze jest to, że ludzie do dzisiaj do niego

chodzą, bo praktycznie od ręki przepisuje hormony. Liczę na to, że uda się go wreszcie wypchnąć na margines, a może nawet pociągnąć do odpowiedzialności.

Dysforia jest jednak straszną rzeczą, zrobisz wszystko, żeby zacząć leczenie. Przyznam, że samo byłem w takiej sytuacji. Bardzo długo ignorowałem swoją transpłciowość – w gruncie rzeczy wiedziałem, że jestem trans, ale nie chciałem być. Nie w taki sposób jaki mi to ukazywało społeczeństwo, więc łatwiej było udawać przed sobą, że wszystko jest w porządku. Udawałem tak do momentu, aż nie dało się tego dłużej ignorować, cierpienie było za silne. Zdecydowałem się iść do tego lekarza o złej sławie. Dał hormony. Pomogło. Ale przebieg wizyty pamiętam do dzisiaj, bo był traumatyczny.

To straszne być zmuszonym do podejmowania takich decyzji.

Ja do tego bardzo transakcyjnie podeszłem wtedy. Ale nie chciałbym, żeby inne osoby też musiały przez to przechodzić. Mam świadomość, że wtedy nie było za bardzo alternatywy. Nie wiedziałem do kogo innego mogę się zwrócić. Dziś mam zaświadczenia od endokrynologa i recepty wypisuje mi lekarz rodzinny. Ale kiedyś cena otrzymania hormonów potrafiła być bardzo wysoka. I nie mam tu na myśli tylko pieniędzy, choć to też. Seksuologowie starej daty najczęściej nie chcą dawać zaświadczeń o przyjmowanych lekach, żeby osoba trans była uzależniona od ich recept. Gdyby ktoś wtedy to nagłośnił i zrobił problem temu lekarzowi, to kto by nam przepisywał hormony? Teraz jest inaczej, on też sobie nie pozwala już na aż takie sytuacje, bo jest dużo większa konkurencja. Mamy też większą świadomość jako grupa społeczna i wiemy, że mamy prawo wymagać godnego traktowania.

Jak wygląda u ciebie obecnie sytuacja z hormonami?

Mam całkiem fajnie to życiowo ułożone, bo nie muszę łykać mnóstwa tabletek i męczyć nimi swojej wątroby. Jestem na zastrzykach, które sprowadzam

ze Słowacji, kupuję przez internet dosłownie za grosze. W Polsce na początku procesu tranzycji nie przepisuje się zastrzyków tylko tabletki. Jak się bierze testosteron to też na zastrzykach, ale osoby transmęskie muszą przyjmować testosteron o wiele rzadziej, raz na wiele tygodni, więc chodzą do przychodni. W stronę transżeńską trzeba robić zastrzyki o wiele częściej, więc ludzie uczą się sami je sobie robić. Ja na początku musiałem przyjmować je dwa razy w tygodniu. A kto ma czas latać ciągle do przychodni? W Polsce większość osób tranżeńskich przyjmuje tabletki, zele lub plastry. Szkoda, że nie są u nas bardziej popularne zastrzyki, bo trzeba je robić dużo rzadziej i mniej kosztują, tyle że trzeba je zamawiać z zagranicy.

Czy patrząc na kulturę popularną widać jakąś zmianę w podejściu do ukazywania osób trans?

Jestem osobą wychowaną na popkulturze, w której osoby trans były zawsze ponurym żartem, ukazywane jako coś żenującego, strasznego, niczym postać z horroru. Dziś to się zmienia. W popularnych serialach coraz częściej występują osoby transpłciowe czy niebinarne, np. w „Star Trek: Discovery” i „Chilling Adventures of Sabrina”. Mało tego, pojawia się coraz więcej animacji dla dzieci z postaciami niebinarnymi, jak „She-Ra and the Princess of Power” czy „Steven Universe”. Ale nadal pod względem reprezentacji nie jest tak różowo jak bym chciał. Prawie zawsze transpłciowość wprowadzana jest pod pretekstem albo pod jakąś przykrywką. „Star Trek: Discovery” miał wielką kampanię reklamową, chwając się pojawieniem się wśród obsady osoby trans i osoby niebinarnej, z czego osoba trans od początku nie żyje, a osoba niebinarna ma inne osoby w głowie. Naprawdę nie możemy po prostu dostać osoby niebinarnej? Takiej zwykłej, jak my, nie będącej kosmitą czy magicznym jaszczurem?

Czy dorastając doświadczałoś zjawiska zinternalizowanej transfobii?

Trudno tego uniknąć. Po pierwsze, długi czas nie było dobrych wzorców. Dorasta się w przekonaniu, że bycie osobą trans nie jest czymś dobrym czy

pożądanym. Wydaje ci się, że nie jest to ktoś, kim chcesz być. Stąd bierze się nienawiść do samej siebie, ciągle ocenianie. Dzisiaj bardzo negatywnym zjawiskiem jest porównywanie się z innymi osobami na social mediach. Osoby trans publikują swoje zdjęcia „przed” i „po”, pokazując efekty tranzycji, a potem inni ludzie to obserwują, nie mając świadomości, że przecież na takich platformach wybijają się na pierwszy plan tylko najlepsze rezultaty, a w rzeczywistości każda osoba po tranzycji nie będzie przecież wyglądać jak modelka. Później następuje zderzenie z rzeczywistością i to potrafi bardzo zboleć, uderzyć w kompleksy. „Czemu ja tak nie wyglądam?”. „Czemu mi nie wyszło?”. A to prowadzi do braku akceptacji siebie, samonienawiści, czasem depresji. Inny jeszcze problem to działalność transmedykalistów. Niektóre osoby w społeczności mają problem z zaakceptowaniem osób niebinarnych albo osób trans, które nie odczuwają dysforii. To kolejny poziom wypychania poza margines. Tak jak geje wypychali z mainstreamu tych, którzy nie pasowali do określonego wzoru męskości.

Nie dość normatywni, żeby móc reprezentować homoseksualność.

U nas znowu jest ten sam problem. Gdy osoby binarne zaczęły wchodzić w mainstream, trzeba się było tych niebinarnych pozbyć ze społeczności. Takie osoby często przyjmują założenie, że dopóki ktoś nie jest na hormonach, nie może być trans. A jak nie to, zawsze znajdą się inne powody, żeby komuś odmówić bycia trans. Dużo osób też nie mówi o takich rzeczach otwarcie. Zawsze znajdzie się grupa, która staje się wyklęta, bo psuje wizerunek „większości”. Przykre to jest, ale i śmieszne. Tak, jakbyśmy jako osoby trans miały jakiś super wizerunek w społeczeństwie, który można jeszcze zepsuć. Ostatnio pojawiają się też takie inicjatywy jak LGBdroptheT. Wszystko wskazuje, że najczęściej inicjują je osoby o prawicowych poglądach, żeby rozbić i osłabić naszą społeczność – ale niestety osoby LBG często się na to łapią i przyklaskują, bo czują, że są już w tej chwili dużo bardziej akceptowane niż my i kusi, żeby się nas pozbyć. A homofobiczna część społeczeństwa już zaciera ręce i planuje, który wagonik odczepić w następnej kolejności.

Jakie są twoim zdaniem najważniejsze zadania stojące przed aktywizmem trans?

Wydaje mi się, że z takich ważnych rzeczy, które się dzieją ostatnio, naprawdę świetnym projektem jest strona Zaimki.pl. Ten projekt wyciągnął na wierzch kwestię językową, dając ludziom do ręki konkretne narzędzia i rozwiązania, którymi mogą się posługiwać. To już nie jest tak, że z jednej strony osoby niebinarne chcą, żeby zwracać się do nich przy użyciu odpowiednich form, a drugiej same nie wiedzą, jakie to są formy. Ten projekt dał ludziom do ręki cały słownik przykładów. To naprawdę niesamowite narzędzie tworzące społeczność, dzięki której ten język naprawdę żyje i nie jest tylko wymysłem na papierze. Nie ukrywam, że ten sukces stanowi dla mnie ogromne źródło inspiracji.

Dla mnie osobiście cały czas jedną z najważniejszych rzeczy, za które zamierzam się zabrać, jest doprowadzenie do tego, by lekarze używali wspólnych kryteriów medycznych. To jest strasznie trudne. Mam nadzieję, że z czasem to się zmieni. Trzeba to wszystko uporządkować, skatalogować, wprowadzić narzędzia do rozliczania lekarzy i wreszcie zacząć od nich wymagać, żeby spełniali te standardy. To ważne, żeby ukrócić samowolkę w tej kwestii.

Zależy mi na tym, żeby nie poświęcać całego życia na zajmowanie się swoją transpłciowością. Chcę być „normalną” osobą, która ma swoje „normalne” problemy. A z drugiej strony mam silne poczucie, że jest tyle ważnych rzeczy do zrobienia, rzeczy, przez które przechodziłam, a nie chcę, żeby inni też musieli. Mam poczucie, że jest dużo do zrobienia w społeczności, cała lista spraw do odhaczenia. Nadal brakuje nam w środowisku dostępu do solidnych i sprawdzonych źródeł wiedzy po polsku. Ludzie udzielają się w zamkniętych grupach samopomocowych, choćby na Facebooku, służących przede wszystkim do wymiany doświadczeń. Tam w kółko latają te same pytania. Ten brak wiedzy to zresztą jeden z powodów, dla których pracuję obecnie nad przygotowaniem strony internetowej Tranzycja.pl.

Co znajdzie się na tej stronie?

Dużo zebranej wiedzy, uporządkowanej w takie działy jak: tranzycja krok po kroku, spis lekarzy, do których iść, hormony, zmiana imienia, sąd, itd. Ale też jak sobie radzić z codziennymi problemami – w szkole, w pracy, w urzędach, w bankach. Poza tym będzie tam też dział pytań i odpowiedzi, gdzie będą wyjaśnione ciągle powielane bzdury. Bardzo liczę na to, że wokół strony Tranzycja.pl również wyrośnie społeczność. To jedno z moich marzeń.

RODZINA NA SWOIM

Mike Urbaniak

Szacuje się, że w Polsce żyje od pięćdziesięciu do stu tysięcy tęczowych rodzin w rozmaitych konfiguracjach, które zderzają się codziennie ze społeczno-kulturowymi uprzedzeniami i opresyjnym państwem.

Anna mówi, że nie ma dość. A Agnieszka? – Skoro mamy odwagę żyć otwarcie, próbujemy dawać tę odwagę innym – odpowiada krótko. Obie traktują takie rozmowy trochę jak misję: – Jesteśmy przekonane, że mówienie o sobie i dzielenie się naszymi historiami pomaga wielu ludziom zrozumieć z czym się borykamy – dodaje Anna. A nie jest to wcale takie proste jakby się wydawało, szczególnie dla Agnieszki, która nie jest typem ekstrawertycznym. – Gdyby ktoś dwadzieścia lat temu opowiedział mi to, co ja opowiadam innym dzisiaj, byłoby mi zdecydowanie łatwiej. Wiedziałabym też znacznie wcześniej, że mogę prowadzić zupełnie normalne życie – mówi Agnieszka. Normalne, ale z różnymi ograniczeniami, z którymi tęczowe rodziny muszą się nieustannie borykać. Szczególnie w Polsce, która bez względu na to, kto nią rządzi, zdaje się uprzykrzanie życia nieheteronormatywnym rodzinom uważać za rację stanu. A taką właśnie tęczową rodzinę tworzą Anna, Agnieszka i wychowywana przez nie trzynastoletnia Pola.

Szacuje się, że w Polsce żyje od pięćdziesięciu do stu tysięcy tęczowych rodzin w różnych konfiguracjach, które zderzają się codziennie ze społeczno-kulturowymi uprzedzeniami i opresyjnym państwem. Z powyższych powodów stosunkowo niewiele z tych rodzin chce publicznie opowiadać o sobie, dlatego decyzja Anny i Agnieszki, by to robić jest niezwykle ważna, choć stają się przez to „dyżurnymi lesbijkami z dzieckiem”. – Tak, czujemy się trochę jak na ciągłym dyżurze – potwierdza Anna, jednak zaznacza od razu, że uważa to za naturalny element aktywizmu. W końcu bycie członkinią zarządu Grupy Stonewall zobowiązuje. Nie zmienia to jednak faktu, że czasami nawet one mają poczucie, że traktowane są jak „baba z brodą” – proszę, tu macie tęczową rodzinę i ona wygląda tak. Anna: – Nasze poczucie misyjności wynika również z tego, że spotykając się od lat z tęczowymi rodzinami i słuchając ich historii, mamy świadomość jak to dzielenie się jest istotne, bo nieheteronormatywne osoby, stojące przed decyzją o posiadaniu dzieci, często tak naprawdę nie wiedzą z czym się mierzą.

A mierzą się generalnie rzecz biorąc ze społecznym ostracyzmem i całą masą stereotypów, z których najczęstszym jest ten, że dziecko wychowywane przez dwie mamy czy dwóch ojców będzie automatycznie homoseksualne,

co oczywiście jest nieprawdą. Inny stereotyp dotyczy rzekomego prześladowania przez rówieśników dziecka wychowywanego w tęczowej rodzinie. Wypowiedzi typu „dziecko będzie miało przerąbane”, „społeczeństwo nie jest na to gotowe”, „szkoła sobie z tym nie poradzi” są na porządku dziennym. Agnieszka: – Kiedy słyszysz coś takiego, wszystkiego ci się odechciewa. Wiele osób rezygnuje przez to ze swoich marzeń o posiadaniu dzieci. – A wiele lesbijek – dodaje zaraz Anna – ma potrzebę, żeby się spełnić jako matki, czego społeczeństwo nie wydaje się brać pod uwagę. Dlatego nasza opowieść jest ważna, bo dziewczyny mogą nas spytać: „No dobra, macie trzynastoletnią córkę, jak to jest?”.

Odpowiedź jest zaskakująco prosta. Otóż jest normalnie. Jest dokładnie tak, jak z każdym innym dzieckiem. Są wzloty i upadki, są sukcesy i porażki. A w szkole? W szkole, jak to w szkole. Dzieciaki mogą się przyczepić do wszystkiego: do dziecka w okularach, do dziecka z nadwagą, do dziecka, które ma dwie mamy. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Ważne jest natomiast jak się na to reaguje. I to jest wielka rola osób oraz instytucji odpowiedzialnych za wychowanie dzieci i młodzieży. – Jedyna rzecz, która – mam wrażenie – różni nasze dziecko od innych jest to, że Pola ma bardzo rozbudowane poczucie odpowiedzialności za to, co mówi – zauważa Anna. Trzynastoletnia Pola była uczulona, że mówienie o tym, w jakiej jest wychowywana rodzinie i jak jej rodzina wygląda jest czymś, o czym mówią jej matki, ale nie wymagają tego samego od niej. Krótko mówiąc, nie wymagają od dziecka, by została aktywistką. Nie ma takiego przymusu. – Ona ma przede wszystkim chronić siebie – dodaje Agnieszka.

Pole, córkę Anny i Agnieszki, poznałem kilka miesięcy przed naszą rozmową i zrobiła na mnie piorunujące wrażenie. Spotkaliśmy się podczas jednego z wydarzeń organizowanych przez Grupę Stonewall w klubokawiarni Lokum i długo rozmawialiśmy. Pola – rezolutna, wygadana i bardzo konkretna – wydawała się mieć do mnie jeszcze więcej pytań, niż ja do niej. Mogłaby spokojnie zostać rzeczniką prasową Grupy Stonewall i przegadać w studiu telewizyjnym niejednego prawicowego troglodytę. – To jest dowód na to, co pokazują badania, że tęczowe rodziny bardzo dużo z dziećmi rozmawiają, ale

nie dlatego, że mają taką nieodpartą potrzebę, ale dlatego, że muszą – wyjaśnia Anna i dodaje: – My musimy rozmawiać z naszymi dziećmi, uprzedzać je, że świat jest jaki jest, że jest homofobia, że nie jesteśmy ich w stanie uchronić przed każdą osobą na świecie. Dzieci wychowywane w tęczywych rodzinach same muszą decydować o tym, komu i jak powiedzieć, stąd być może ich częsta rezolucyjność. Agnieszka: – Ważne jest tłumaczenie dziecku skąd się biorą emocje, obawy, strach czy ksenofobia. Powiedzenie, że ktoś jest homofobem, to za mało. Nieustająca rozmowa z dzieckiem wydaje się być wpisana w kod genetyczny tęczywych familii.

Badania prowadzone od czterdziestu lat nad tęczywymi rodzinami potwierdzają nieustannie pewien fenomen. Otóż dzieci wychowywane przez nieheteronormatywne pary są szczęśliwsze, rezolucyjniejsze i lepiej się uczą. Nie wynika to naturalnie z tego, że lesbijki czy geje są lepsi z natury rzeczy od osób heteroseksualnych, ale z tego, że dzieci w rodzinach tęczywych są zawsze chciane, z racji rozmaitych homofobicznych uprzedzeń rodzice poświęcają im znacznie więcej uwagi, a same rodziny tęczywe są nieustannie pod lupą większości. Co znamienne, wśród wartości, które rodzice w tęczywych rodzinach przekazują dzieciom, obok pracowitości, uczciwości czy odpowiedzialności, na pierwszym miejscu jest tolerancja i szacunek do drugiego człowieka.

W przypadku dzieci z tęczywych rodzin ich „inność” jest inna od na przykład koleżanki o czarnym kolorze skóry, która swej „inności” ukryć nie może, co jest komfortowe i niekomfortowe zarazem. Komfortowe, bo daje możliwość samodzielnej decyzji, a niekomfortowe, bo zmusza do decyzji. Tęczywe dzieciaki zupełnie też inaczej funkcjonują w społeczności LGBT+, a inaczej poza nią. Pola, jak zauważają Anna i Agnieszka, wśród osób nieheteronormatywnych czuje się jak ryba w wodzie, gdyż nie musi niczego tłumaczyć i wie, że wszyscy wokół są pozytywnie nastawieni. Kiedy Pola widzi drag queens, reaguje na nie, jak inne dzieci na wróżki. Uwielbia kolorowy gejowski świat, przegięcie i brokat, sama jest też duszą artystyczną. Takiej pewności i komfortu nie ma poza społecznością LGBT+. W „świecie zewnętrznym” nigdy bowiem nie wiadomo na kogo się trafi.

Warto jest też zwrócić uwagę na to, że dzieci wychowywane w tęczowych rodzinach, bez względu na swoją orientację seksualną, robią nieustanny coming out, bo zawsze trzeba komuś powiedzieć, że przykładowo ma się dwie mamy. – Zwykle mówimy o wyjściu z szafy osób LGBT+, a nie mówimy o ich dzieciach. A one się przecież outują na milion sposobów. Co ciekawe, dzieciaki są bardzo otwarte, dopóki nie zetkną się ze światem osób dorosłych. To od dorosłych dowiadują się, że posiadanie dwóch mam nie jest okej. Same z siebie tego nie wymyślą. Dzieci znajomej lesbijskiej pary, po pójściu do przedszkola natychmiast poinformowały panie przedszkolanki, że mają dwie mamy. Dla nich to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie – opowiada Anna. – To społeczeństwo ustala zasady, warunkuje, co jest uznawane za normalne, a co nie i dzieci są potem tego uczone – dodaje Agnieszka. Można więc wychować dziecko na homofoba, a można też inaczej. Normalność to rzecz względna. Problemy zaczynają się, gdy zderzają się ze sobą różne koncepcje normalności. Normalność, gdzie Inny jest zły z normalnością, że gdzie Inny jest dobry.

Anna i Agnieszka miały sporo czasu na przemyślenie tego wszystkiego, bo są razem dziesięć lat. Należą do mniejszości w mniejszości – pary z takim stażem stanowią około siedmiu procent społeczności LGBT+. Miały więc czas na długie rozmowy, konfrontacje i wypracowywanie własnego modelu. A model w tym przypadku jest taki, że ojciec Poli i jego partnerka także uczestniczą w wychowaniu dziewczynki. Taki model nazywa się z angielska patchworkowym (patchwork to materiał zszyty z różnorodnych kawałków), a po polsku rodziną rekonstruowaną. Kiedy pytam Agnieszkę, jak się zapatrywała na partnerkę z dzieckiem, ta się uśmiecha. – To jest cholernie duża odpowiedzialność, kiedy zaczynasz związek, w którym jest dziecko. Musisz pamiętać, że nie możesz mu wywrócić świata do góry nogami, a z drugiej strony wszystko tak naprawdę sprawdza się w praniu. Można przecież mieć wyobrażenia jak to będzie wyglądało, ale życie je zwykle szybko weryfikuje – mówi. Mimo wszystko warto spróbować ustalić jakieś warunki, co Anna z Agnieszką, specjalistki od projektów, czym prędzej zrobiły. Z lesbijkami nie ma żartów, musi być regulamin i procedury. Wkrótce się jednak okazało, jak słusznie zauważyła Agnieszka, że procedury nijak się mają do rzeczywistości.

Agnieszka planująca bycie „osobą towarzyszącą w wychowaniu Poli”, została szybko matką społeczną, choć sama nie lubi tego określenia. Rodzic społeczny to osoba partnerska, która nie jest ani rodzicem biologicznym, ani rodzicem przysposobionym (dziecko nie jest przez nią adoptowane).

Od razu trzeba zaznaczyć, że nie ma jednego modelu funkcjonowania tęczy-
wych rodzin, nie ma żadnego wzoru. Każda para, każda rodzina musi taki
model wypracować sobie sama. Mogą być na przykład dwie mamy i dziecko
z poprzedniego heteroseksualnego związku (przypadek Anny i Agnieszki),
może być dziecko urodzone w wyniku zapłodnienia in vitro albo w wyniku
zapłodnienia w domu przy pomocy nasienia zaprzyjaźnionego dawcy, ojciec
może uczestniczyć w wychowaniu albo nie, mogą to być pary gejów i lesbijek,
które się dogadują między sobą i tak bez końca – wariantów jest naprawdę
wiele i każdy z nich jest dobry. Pomocna okazuje się także popkultura, szcze-
gólnie filmy, które w ostatnich latach uwzględniają coraz częściej rodziny
nieheteronormatywne, więc jest już się do czego odwoływać. Dotychczas
trzeba było się ratować głównie siecią, forami internetowymi. Dzisiaj opcji
jest znacznie więcej.

– Przełomowym momentem było dla nas badanie rodzin z wyboru – mówi
Anna. „Rodziny z wyboru. Życie rodzinne osób nieheteroseksualnych” to naj-
większe do tej pory badanie tęczywych rodzin w Polsce, które sześć lat temu
przeprowadził zespół pod kierunkiem dr hab. Joanny Mizielińskiej z Instytutu
Psychologii Polskiej Akademii Nauk. – Wzięłyśmy w nim udział i kiedy usia-
dłam w gronie dziesięciu matek biologicznych, okazało się, że nasze historie
są w gruncie rzeczy bardzo podobne – kontynuuje Anna i dodaje: – Tak samo
było w grupie dzieciaków, które zdały sobie nagle sprawę, że nie są jedno-
roźcami, że nie są jedyne na świecie, że takich dzieci jest więcej, co dało im
poczucie solidarności i siły. A co odkryła grupa matek społecznych? – U nas
było dużo wątpliwości dotyczących tego, jak się odnaleźć w roli, która w naszej
kulturze w ogóle nie istnieje. Dużo było w związku z tym rozmów na przykład
o tym, kim się jest: ciocią, matką, opiekunką? Jak właściwie dziecko ma się
do nas zwracać? – mówi Agnieszka. Według rzeczonych badań przytłaczają-
ca większość dzieci w tęczywych rodzinach mówi do rodziców społecznych

po imieniu, tylko nieco ponad sześć procent mówi do nich „mamo” lub „tato”. Agnieszka poprosiła Polę, żeby mówiła do niej Agnieszka.

Innym znaczącym problemem rodziców społecznych jest ich odpowiedzialność za dziecko i decyzyjność. Bardzo tu dużo niepewności i niejasności. Największym strachem rodziców społecznych jest to, że coś złego wydarza się rodzicowi biologicznemu i co wtedy z dzieckiem? Anna i Agnieszka znają przypadki, gdy w takich sytuacjach więź między dzieckiem a rodzicem społecznym była brutalnie zrywana. Można się oczywiście próbować na różne sposoby zabezpieczać, ale te notarialne zabezpieczenia, które tak ochoczo osobom LGBT+ proponują konserwatyści, koniec końców niczego nie gwarantują. W Polsce nie pomaga również małżeństwo zawarte za granicą, bo polskie państwo jest w tej kwestii niezwykle bezduszne i doprowadziło do absurdalnej sytuacji, w której Anna i Agnieszka, które wzięły ślub trzy lata temu w Danii, są małżeństwem na zachód od Odry, a kiedy już są po wschodniej stronie rzeki – małżeństwem być przestają.

Agnieszka z Anną sporządziły testamenty, bo mają wspólny majątek i chciały o to zadbać, ale testament można również podważać sądownie. Inna możliwość to wypisywanie upoważnień do decydowania o różnych sprawach, jak dowiadywanie się o stan zdrowia. Można to zrobić u notariusza, ale w praktyce homofobicznego kraju działa to różnie. W kwestii Poli jest jeszcze trudniej. Matka biologiczna może złożyć oświadczenie woli, że w przypadku śmierci chciałaby, żeby dzieckiem opiekowała się w przypadku Anny Agnieszka. Praktyka jest jednak taka, że sądy czasami biorą to pod uwagę, a czasami nie i na tym możliwości się kończą. – Agnieszka nie może pójść nawet z Polą do lekarza bez mojego osobnego upoważnienia, a gdyby Pola trafiła do szpitala, żadne oświadczenia nie mają znaczenia. Zgodnie z obowiązującym w Polsce prawem Agnieszka nie może decydować o żadnym zabiegu, podczas którego dochodzi do naruszenia powłoki cielesnej dziecka, choćby wbicia igły.

Wszystko to powoduje, że rodzice społeczni mają naprawdę niełatwą rolę. Agnieszka: – Boję się rzeczy nieuniknionych, które wiem, że kiedyś nadejdą.

Nie wiem, jak się potoczy sytuacja. Czy ludzie będą nam sprzyjać, czy nie. Zabezpieczamy się jak możemy, ale nie mamy pewności jak to zadziała. To jest dla mnie trudne doświadczenie, nawet sobie nie zdawałam sprawy jak bardzo. Ale oczywiście nie żałuję, że jesteśmy razem, że jest Pola.

Agnieszka i Anna znają kilkanaście tęczywych rodzin w Poznaniu, jakieś dwadzieścia pięć par i tyle samo dzieciaków. Wszystkie znane im w mieście rodziny to kobiety plus dziecko. Anna poznała tylko jedną męską parę wychowującą syna, ale z Zielonej Góry. Jak tęczywe rodziny funkcjonują w naszej społeczności LGBT+? Bywało różnie. Tu i tam słyhać było zarzut o powielanie heteroseksualnego modelu, czasami niechętnie patrzono na rodzinny program w ramach Poznań Pride Week, bo dla niektórych gejowski styl życia nie uwzględnia rodzinnego pikniku, niektórzy wyrażali też wątpliwości co do uczestnictwa dzieci w Paradzie Równości. Jak się okazuje tęczywa rodzina może nie pasować osobom hetero i homo. Ale to raczej mniejszość, dominuje podejście afirmatywne. Na pewno w Poznaniu, który uchodzi dzisiaj za najbardziej przyjazne społeczności LGBT+ miasto w Polsce. Anna wiąże to z dominującym w Poznaniu nowoczesnym konserwatyzmem, takim na kształt tego brytyjskiego, w którym jest miejsce na tradycję i nowoczesność. – Nie wyobrażam sobie mieszkania gdzieś indziej w Polsce, sam musisz przyznać, że Poznań jest bardzo gay-friendly – mówi do mnie Anna. To prawda. I jest to w dużej mierze ogromna zasługa Grupy Stonwall. – Dlatego bardzo mnie denerwuje – włącza się Agnieszka – kiedy słyse, że w Poznaniu jest po prostu łatwiej. Bardzo przepraszam, ale nasza społeczność LGBT+ ciężko na to pracowała, samo się nie zrobiło – słusznie zauważa. Anna: – Tu nigdy nikt nas nie zaatakował, a zawsze chodzimy za rękę. Tak, jak w Poznaniu nie wypada śmiecić, tak, mam wrażenie, nie wypada już dzisiaj być homofobem.

Annę i Agnieszkę najbardziej boli jedno, że nadal w powszechnej świadomości nie są uważane za rodzinę, że dla wielu są parą z dzieckiem, więc kiedy jeden z panów remontujących ich dom na Junikowie życzył Annie i jej rodzinie wszystkiego najlepszego na święta, zrobiło jej się bardzo miło na sercu. Anna: – Takie drobne gesty mają dla nas, tęczywych rodzin, bardzo duże znaczenie.

Dziewięćdziesiąt procent tęczy rodzin w Polsce chce prawnej regulacji swojego statusu przy pomocy przynajmniej zawieranych w urzędach stanu cywilnego związków partnerskich, sześćdziesiąt procent chce małżeńskiej równości.

A CZY P?

Bartosz Żurawiecki

Swoją gejowską „karierę” zaczynał, podobnie jak ja, w latach dziewięćdziesiątych, gdy nikomu się jeszcze nie śniło, że pojawią się aplikacje randkowe i to w dodatku przeznaczone wyłącznie dla homoseksualnych mężczyzn.

Michał ma nieco ponad czterdzieści lat i pracuje w jednym z poznańskich urzędów. Swoją gejowską „karierę” zaczynał, podobnie jak ja, w latach dziewięćdziesiątych, gdy nikomu się jeszcze nie śniło, że pojawią się aplikacje randkowe i to w dodatku przeznaczone wyłącznie dla homoseksualnych mężczyzn. Wychodziły natomiast pisma gejowsko-lesbijskie, takie jak społeczno-kulturalne poznańskie „Inaczej”, czy znacznie ostrzejszy erotycznie warszawski „Men” (potem „Nowy Men”). W Poznaniu najbezpieczniej było je kupić w kiosku na Świętym Marcinie (w przejściu, gdzie teraz króluje uwielbiany przez hipsterów barber). Wieść gminna niosła, że tamtejszy sprzedawca jest „nasz”, zawija więc dla niepoznaki gejowskie gazetki w „Głos Wielkopolski”. Jednak nie wszyscy poznańscy homoseksualiści wiedzieli, że to kiosk zaufany – wszak były to czasy przedinternetowe, nie dało się więc takich informacji „wygugłać” – toteż kupowanie „Inaczej” generalnie wiązało się ze sporym stresem. Michał opowiada, jak krążył wokół punktu „Ruchu”, który znajdował się na ulicy Gwarnej: – Wtedy przecież nie wchodziło się do Empiku czy innego sklepu, by po prostu wziąć gazetę z półki. Trzeba było poprosić o konkretny tytuł, wymawiając go głośno. Czekałem na Gwarnej, aż nikogo w środku nie będzie, dopiero wówczas wchodziłem i z sercem w gardle kupowałem. Pani, która prowadziła ten kiosk, była skądinąd życzliwa i miła. Nigdy nie rzucała żadnych nieprzyjemnych uwag. Tym niemniej kilka razy zdarzyło mi się stchórzyć i wrócić do domu bez «Inaczej»” – opowiada Michał, który swoje gejowskie randkowanie zaczął zresztą dzięki pismom bynajmniej nie „tęczowym”: – W hetero- i lesbijnych pismach porno były ogłoszenia skierowane do gejów, osobna dla nich rubryka. Jak już przebrnąłeś przez te wszystkie cyce, nagle otwierał się przed tobą zupełnie inny świat, co zresztą odkryłem zupełnie przypadkowo, bo znalazłem taką gazetkę (nazywała się „Cats”) w piwnicy u mojego ojca. Cóż to była za radość! A więc nie jestem jedyny! Są też inni i jeszcze się ogłaszają! To właśnie dzięki „Cats” poznałem swojego pierwszego chłopaka.

System korespondencji był wówczas nader skomplikowany. Żadnych tam krótkich wiadomości typu: „siema” albo „a czy p?” wymienionych za pomocą telefonu w ciągu kilku sekund. Każde ogłoszenie w gazecie miało swoje numery. Czytelnik zainteresowany nim wysyłał najpierw list do czasopisma

– podawał swoje dane, numer interesującego go ogłoszenia i musiał dołączyć znaczek pocztowy. Redakcja przesyłała całość do autora anonsu i dopiero wtedy zaczynała się ewentualnie bezpośrednia wymiana korespondencji. Zważywszy na opieszałość z jaką działała wtedy poczta, niekiedy trwało to wszystko tygodniami. Człowiek zdążył już stracić nadzieję, że ktokolwiek mu odpisze. Cóż, dzisiaj przynajmniej traci tę nadzieję znacznie szybciej. Michał: – Ach, pamiętam kilka tych moich historii epistolarnych. Na przykład korespondowałem z jednym panem długie miesiące, zanim zorientowałem się, że „ZK” w jego adresie to zakład karny. Byłem przekonany, że to nazwa jakiegoś osiedla. Był też pewien lekarz z Wrocławia, który bardzo usilnie namawiał mnie, bym do niego przyjechał, a ja wtedy miałem jeszcze paranoję, że ktoś odkryje, że jestem gejem. Ale myślę sobie: inne miasto, nikt mnie nie zna. Z duszą na ramieniu, a zarazem bardzo podekscytowany, pojechałem. Zobaczyłem go czekającego na peronie i od razu pożałowałem. Bo wiesz, on mi w listach przysyłał swoje rozebrane zdjęcia. Wiedziałem jakiego ma penisa, znałem też jego twarz i nie, żeby był nią rozczarowany, ale jak on był ubrany! Bardzo kolorowo, niczym tęczowa flaga. Nadto zachowywał się w sposób ostentacyjnie przegięty, co działało na mnie paralizująco. To były inne czasy. Kompletnie nie umiałem się odnaleźć w jego towarzystwie. On oczywiście od razu chciał skonsumować tę znajomość, mnie zaś wszystko opadło. Bardzo się opierałem, ale koniec końców zmusił mnie, bym poszedł do jego mieszkania – sto dwadzieścia metrów w starej kamienicy. Postawił przede mną obiad i powiedział, że ma tylko jeden widelec, więc musi mnie karmić. Ja na to, że spoko, poradzę sobie rękami. Skończyło się tak, że uciekłem do pokoju, w którym na ścianie wisiała kolekcja białej broni. Nie chciałem usiąść na kanapie, bo jak bym usiadł, to pewnie zaraz bym leżał. Wreszcie, po kilkugodzinnej męce z dziką radością udało mi się stamtąd wyrwać. Było to jednak naprawdę straszne doświadczenie.

Nieudane randki to więc zjawisko stare jak świat.

Robert, trzydziestoparoletni poznański malarz, korzysta z Grindra (najpopularniejszej obecnie gejowskiej aplikacji randkowej), ale – jak sam przyznaje – umówienie się z kimś, choćby wyłącznie na niezobowiązujący seks, nie jest

takie proste. Zwłaszcza teraz, w pandemii, gdy ludzie się boją, a w dodatku nie można nigdzie usiąść, by napić się kawy czy piwa i najpierw wzajemnie „oblukać”. Robert: – Faceci z poznańskiego Grindrza wprost alergicznie reagują na wszelkie pytania wykraczające poza kwestie czysto seksualne, a ja mam tak, że lubię co nieco się dowiedzieć o ludziach, z którymi mam iść do łóżka. Jednak, gdy zadaję bardzo ogólne przecież pytanie typu „kim jesteś z zawodu?”, rozmowa albo się natychmiast urywa, albo mój interlokutor odpowiada, że nie będzie o tym opowiadał, bo to nie moja sprawa. Czuję w tym paranoiczny lęk, że zaraz zadzwonię do jego firmy i doniosę, że pracują z gejem.

Na poznańskim Grindrze rzeczywiście jest wiele profili bez zdjęć lub ze zdjęciami przedstawiającymi wyłącznie stopy, torsy albo kotki. – Ludziom dzisiaj łatwiej przychodzi wysłanie zdjęcia penisa w wzwodzie niż zdjęcia swojej twarzy – ubolewa Robert i dodaje: – Nie zliczę też sytuacji, w których ktoś, z kim spędziłem miłe chwile, ostentacyjnie nie poznawał mnie potem na ulicy. Albo takich osobników, którzy zapominają, że już kiedyś rozmawialiśmy na Grindrze – a nawet, że się spotkaliśmy na żywo – i wciąż podają inne imiona. Raz są Adamem, innym razem Grzegorzem, potem Maciejem. Trudno się z Robertem nie zgodzić. Inna kwestia, że Poznań generalnie seksem raczej nie bucha. W porównaniu z bardziej pod tym względem atrakcyjną Warszawą, wielkopolska stolica to miasto może i tolerancyjne, ale jednak trzymające się mieszczańskich zasad. Geje też się w ów drobnomieszczański wzorzec próbują wpisać. – Dlatego wolą załatwiać „te sprawy” anonimowo, w ukrytych, dyskretnych przybytkach typu Dark Angels, niż w jawnym, bezpruderyjnym kontakcie z drugim człowiekiem – kontynuuje Robert. – Och, dużo mógłbym ci na ten temat opowiedzieć. Kiedyś umówiłem się z jednym chłopakiem na orgię, którą zamierzał zorganizować w swoim mieszkaniu. Fantazje erotyczne miał ogromne, gdy jednak zamierzałem wyjść nago na balkon, żeby zapalić, to wpadł w taką panikę, że musiałem założyć nie tylko majtki, ale i spodnie. Bał się, że któryś z sąsiadów coś zauważy, choć raz, było już ciemno, dwa – balkon był zabudowany, a przed domem rosły gęste krzaki, więc doprawdy ewentualny podglądacz musiałby się bardzo wysilać, by cokolwiek dojrzeć.

Ta ciekawa na swój sposób poznańska symbioza między gejostwem a mieszczaństwem to coś, co właściwie zasługiwałoby na osobny artykuł, może nawet osobną książkę. Michał opowiada, jak to pewnego razu, poprzez istniejący do tej pory, najstarszy gejowski polski portal randkowy Fellow.pl umówił się na randkę w okolicach Starego Rynku. – Spotkaliśmy się i on powiedział, że teraz pójdziemy do takiej a takiej knajpy. Zgodziłem się i zaczęliśmy iść. Ale widzę, że idziemy do tej knajpy bardzo okreśną drogą. No nic, myślę sobie, pewnie chce sobie ze mną trochę pospacerować. Szliśmy i szliśmy, wreszcie doszliśmy, a on wtedy wyciągnął telefon, coś tam popisał i powiedział do mnie, że jego matka mnie zaakceptowała. I jego chłopak też mnie zaakceptował, w związku z czym możemy mieć seks. Okazało się, że jego matka z jego chłopakiem siedzieli gdzieś po drodze w jakiejś kawiarni i nas obserwowali. Stwierdziłem, że wchodzenie w tego typu relacje rodzinno-seksualne mnie przerasta, więc podziękowałem i poszedłem w swoją stronę.

Robert z kolei nie raz próbował umawiać się z gejowskimi parami: – Prowadzimy z moim chłopakiem raczej otwarte życie seksualne i jego efekty bywają różne. Kiedyś umówiła się z nami para, która zaznaczyła na wstępie, że jednak najpierw chcą porozmawiać. Okej, zgodziliśmy się. Przyjechali z butelką wina. Siedzimy i gadamy, ale nie ma żadnej „akcji”. Oni okazali się w dodatku potwornymi nudziarzami. Cały czas nawijali o kredytach, które wzięli, o tym, że brat się buduje, a ojciec przeszedł właśnie na emeryturę i tak dalej. Wreszcie, po trzech godzinach tej fascynującej gadki stwierdziłem, że dłużej tego nie zniosę i czas przystąpić do rzeczy, ale atmosfery podniecenia już za żadne skarby nie dało się wskrzesić.

Polskie klimaty mogą się także udzielać cudzoziemcom, a tych w Poznaniu jest całkiem sporo. Przyjeżdżają turystycznie, na studia albo do pracy. Robert: – Kiedyś zaprosiliśmy na seks chłopaka z Tajwanu i zaczął tak wyrzekać na Polskę – że zimno, że ciemno, że ludzie niemili – że skończyło się wyłącznie na wspólnym wypiciu zielonej herbaty.

Z opowieści tych wyłania się chyba jednak nazbyt ponury obraz życia seksualnego w Poznaniu. Tymczasem nie jest wcale najgorzej, skoro co chwi-

lę słyszę o grupach z Katowic, Wrocławia czy innych miast polskich przyjeżdżających w weekendy do Poznania na imprezy tematyczne, jak Mister Bear czy Mister Fetysz, które organizowane są przez tutejsze kluby. Obecnie pandemia wstrzymała co prawda ruch w interesie, ale wszyscy liczą na to, że po zniesieniu obostrzeń życie klubowe, a tym samym i seksualne wróci w Poznaniu do normy.

Problemem dla niektórych może być raczej to, że Poznań to miasto średniej wielkości, z dużą, ale jednak skończoną liczbą gejów. – Miałem kolegę – śmieje się Michał – który miał zwyczaj umawiać się na trzy randki dziennie w niewielkich odstępach czasu i po jakimś czasie stwierdził, że musi poszerzyć pole działania o resztę Polski, bo w Poznaniu to już wszystkich zaliczył. Na brak atrakcji seksualnych w Poznaniu nie narzeka za to Marcel – piosenkarz, działacz LGBT, drag queen, znany chociażby z tego, że kilkakrotnie prowadził tutejsze Marsze Równości. Jego pierwsze doświadczenia seksualne wiążą się jednak nie z Grindr'em czy Fellow, ale z kamerkami internetowymi. Krótko mówiąc z cyberseksem, który pozwala połączyć się z kimś siedzącym przed komputerem nawet i na drugim końcu świata. – Na Grindrze czy innych portalach randkowych jest pełno fejkowych kont – mówi Marcel. – A tu przynajmniej wiem, że ta druga osoba naprawdę istnieje. Zwłaszcza, że zawsze domagam się pokazania twarzy. Poza tym sam bardzo lubię się prężyć przed kamerkami, sprawia mi to wielką przyjemność. Gdy jeszcze mieszkałem na wsi, czy potem w Zielonej Górze, gdzie liczba mężczyzn na Grindrze czy Fellow była znikoma, właśnie kamerki pozwalały mi na kontakt międzyludzki. Teraz, w czasach „korony”, wróciłem do starych nawyków. Pytam Marcela jako człowiek, który dość staromodnie łączy seks z bliskością fizyczną, czy nie przeszkadza mu to, że na kamerkach nie można drugiej osoby dotknąć. – Nie! – odpowiada kategorycznie. – Spotkania kamerkowe potęgują wręcz różne moje romantyczne wizje. Ach, jesteśmy na dwóch krańcach świata, patrząc w jedno lustro, którym jest kamera w laptopie. Najpierw się poonimizujmy, a potem pogadajmy o smutku „korony”. Nigdy zresztą nie interesowały mnie sytuacje, które ograniczają się wyłącznie do seksu. Dla mnie stworzenie romantycznej czy pseudoromantycznej atmosfery, rozmowa z drugą osobą, to podstawa, bym czerpał ze spotkania

satysfakcję. Inna sprawa, że z niektórymi osobami „kamerkowymi” spotykałem się potem na żywo i po prostu czar pryskał.

Z Grindra Marcel też korzysta, choć przyznaje, że czasami są to doświadczenia frustrujące: – Mam słabość do atletycznych mężczyzn, tymczasem ludzie często po prostu wstawiają nie swoje zdjęcia. Odrzuca mnie taka nieszczerłość, bo to znaczy, że dana osoba ma problemy sama ze sobą, a z kimś takim nie chcę mieć nawet jednorazowej relacji seksualnej. Jednak większość moich grindrowych spotkań była miła i udana. Nigdy mnie nic złego nie spotkało, poza rozczarowaniem – śmieje się Marcel. – Chociaż – zawiesza głos – parę lat temu jeden chłopak poznany na Grindrze namówił mnie na chemseks. Nigdy wcześniej nie brałem mefedronu, nie wiedziałem więc, jak mój organizm na niego reaguje. I gdy już byłem pod wpływem narkotyku, ów chłopak wziął mnie na grupówkę. Kiedy otrzeźwiałem, zrozumiałem, że to było bardzo nie w porządku, bo nie podejmowałem świadomych decyzji. Zostałem po prostu przez tego gościa oszukany i wykorzystany.

Grupówki, domowe orgie w rodzaju tych, o których stało się ostatnio głośno z powodu obecności na jednej z nich prawicowego węgierskiego europosła Józsefa Szájera, w Poznaniu też się zdarzają. Przed pandemią niektóre z nich odbywały się regularnie. Marcel opowiada o tej najśłynniejszej, organizowanej przez pewnego czterdziestoletniego zamożnego cudzoziemca mieszkającego w Poznaniu. – To jest naprawdę grupówka na poziomie, w pięknym apartamencie. Wielki salon z kanapą, gdzie w różnych konfiguracjach chłopcy uprawiają seks. Jest duży przeszklony prysznic, więc ci, którzy akurat chcą się umyć, są widoczni dla reszty uczestników. Te grupówki mają zresztą różną tematykę. Raz na przykład są same twinki. Innym razem chciałem wpaść, ale gospodarz powiedział mi, że tego dnia zaprasza akurat bardzo męskich chłopaków, więc nie wpasuję się w grupę – zasmucił się Marcel. A księża? O tak, księża też się na Grindrze zdarzają. Najczęściej oczywiście incognito, choć są i tacy, którzy nie ukrywają swojej profesji. Zwłaszcza, że w tak katolickim kraju jak Polska duchowni bywają silnym fetyszem. Łatwo znaleźć w internecie ogłoszenia osób szukających relacji seksualnej, czy nawet związku z księdzem. Marcel spotkał się z jednym, który pracuje w parafii na poznańskich

Ratajach: – Byliśmy na spacerze, był bardzo miły, chwalił moją delikatność i wrażliwość. Ale o swojej profesji nie chciał opowiadać. W końcu zacząłem nalegać i wtedy wskazał pobliski kościół. Poszliśmy na plebanię i tam zaczął mi się zwierzać z tego, jaki to on ma dylemat ze swoją homoseksualnością. Normalnie się przede mną spowiadał. Brał mnie na litość, że jest niby biedną, zagubioną owieczką, której trzeba zrobić loda, żeby poczuła się lepiej. Zafascynowało mnie to, jak bardzo można się samookłamywać. Właściwie czym się różni taki ksiądz od innych hipokrytów?

W tym kontekście rodzi się więc pytanie, czy na dynamikę poznańskiego Grindra wpływa jakoś sytuacja polityczna w kraju, czyli protesty przeciwko PiS-owi i wyrokowi tak zwanego Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji? Okazuje się, że owszem, wpływa. Poznańscy geje, przynajmniej ci z młodego pokolenia, zdają się być coraz bardziej świadomymi obywatelami i nawet na portalu randkowym podkreślają swój sprzeciw wobec obecnej władzy. „Nie spotkamy się dzisiaj, bo muszę iść na demonstrację” – napisał mi jeden z rozmówców. „Uległego twinka do 25. Ps. Nie rozmawiam z tymi, którzy nie protestują przeciwko PiS” – przeczytałem na innym profilu. Na Grindrze pojawiła się nowa grupa wykluczonych, a takich zawsze jest tam sporo, bo niektórzy użytkownicy nie życzą sobie, by zaczepiali ich „otyli”, „przeięci” czy „powyżej 30”. Obecnie mamy nową kategorię źle widzianych, to zwolennicy PiSu. Jak widać, w Polsce nie da się oddzielić seksu od polityki.

REDAKCJA: **MIKE URBANIAK**

PROJEKT GRAFICZNY ORAZ SKŁAD: **WOJCIECH MAZUR**

STOWARZYSZENIE GRUPA STONEWALL

UL. ZAMKOWA 7A/8, 61-768 POZNAŃ

GRUPA-STONEWALL.PL

DAROWIZNA: 39 1020 4027 0000 1802 1629 6209



*Współfinansowane ze środków budżetowych
Miasta Poznania*